Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 19 kwietnia 1936 r. Nr. 16



ORACZ

Zaledwie świt ubieli ziemię
I pierwszych zórz zapłoną barwy,
W zacisznej wsi, co w dali drzemie,
Już oracz pług wyciąga twardy.

Odłogi pól czekają szare,
Spragnione ziarn, pieszczoty pługa,
Więc oracz pieśń im niesie wiary,
I niesie im złociste ziarno.

Szeroki znak na piersiach kładzie,
Gdy cichy krzyż napotka w polu
I idzie w dal, na czarny zagon,
Co dolą jest mu i niedolą.
— — — — — — — —
A kiedy pług ustanie w pracy
I przyjdzie czas wieczornych cieni,
Znów oracz hymn dziękczynny wznosi,
Do jasnych gwiazd — Boga nad niemi.

„Oto już dzień — schylony szepce —
Co barki me strudził, skończony,
Ale za cud i szczęście pracy,
Niechaj ten dzień jest pochwalony."

Marja Zemmlerówna.

MARJAN BRONISŁAWSKI

16)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

— Jak zatelefonuję, że Winters jest, weźmiesz ze swoimi ludźmi samochód i przyjedziecie do stacji tramwaju międzymiejskiego. Stamtąd pójdziesz piechotą do najbliższej poprzecznej drogi. Tam zostawisz w krzakach swych pomocników, a sam przyjdziesz do „Rajskiego kącika“. Nie wejdziesz jednak, gdyż nie chcę, żeby cię tu widziano. Zaczekasz pod drzewami od tyłu domu, a ja tam przyjdę i omówimy resztę. Tylko uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył.

— Dobrze — odpowiedział Gerber. — Teraz uciekam, od jutra czekam na telefon, a dziś jeszcze postaram się o odpowiednich towarzyszy.

Pożegnali się jak starzy przyjaciele. Bratnie dusze łatwo się porozumiały.

Po wyjściu Gerbera, Harden zatarł ręce z zadowoleniem i udał się do swojego pokoju na górę, gdzie zapaliwszy cygaro, zasiadł w wygodnym fotelu i pogrążył się w głęboką zadumę. Teraz już był pewny, że w ten czy ów sposób majątek Haneczki wpadnie mu w ręce. Wolałby, żeby Winters oddał kamienie dziewczynie, bo w takim razie wszystko dostałoby się jemu bez wtajemniczania w całą sprawę Gerbera i dzielenia się ze spólnikiem. Znając Gerbera, wiedział, że ten nie da się oszukać przy podziale, i z bólem serca obliczał, ile tysięcy będzie musiał oddać wykonawcy planu napadu na Wintersa.

— Całe szczęście — myślał — że to nie w gotówce, bo gdyby nie te kamienie, trudne do spieniężenia, Gerber napewno zabrałby wszystko i po napadzie nie pokazał by się nawet. Ale sam nie potrafi sprzedać i będzie zmuszony oddać łupy do zamienienia na gotówkę. A przy tem jakoś się go okroi...

Pocieszając się tą myślą, oczekiwał niecierpliwie zjawienia się Wintersa.

Partyjka pinakla z Soganem

W tej właśnie porze, gdy Harden zaproponował Gerberowi urządzenie napadu na Wintersa, przed gmach głównych biur policji zajechał samochód, z którego wysiadł Stefan Lubicz z Wintersem. Poleciwszy kierowcy zaczekać kilka minut, udał się do biura, gdzie czekał na nich stary Sogan.

— Jesteśmy, panie Sogan! — zawołał Stefan we drzwiach. — Niech się pan zabiera, bo samochód czeka. Kolacja napewno już gotowa!

— Nie zapomniałeś? Ha, w takim razie trzeba iść — odpowiedział stary policjant, szeroko uśmiechnięty. — Ale po kolacji partyjka, prawda? — spytał, zwracając się do Wintersa.

— Ależ naturalnie — odpowiedział zagadnięty. — Mnie więcej o partyjkę chodzi, niż o kolację, bo dawno już nie grałem...

— To doskonale. Zaczekajcie tylko chwileczkę, zabiorę parę cygar i zaraz jedziemy — rzekł Sogan, wysuwając szufladę i pakując do kieszeni tuzin długich, tanich cygar, sprzedawanych po dwie sztuki za pięć centów.

Po chwili wszyscy trzej usadowili się w samochodzie i jechali w stronę Brooklyna, gdzie mieszkała matka Stefana.

— No, cóż? — spytał w drodze Sogan. — Znaleźliście tego Gerbera?

— Owszem — odpowiedział Stefan. — Odnaleźliśmy go z łatwością pod adresem, który pan nam wskazał. Ma tam podrzędną knajpę i jak widać, nie tego mu się powodzi, bo szynk brudny, odrapany i pustkami świeci. Sam właściciel także nie lepiej wygląda. Ale główna rzecz, że to właśnie ten sam Gerber, którego Burke, a raczej Burski miał zastrzelić.

— Aha... — wtrącił Sogan — mówiliście z nim o tem?

— Tak. I teraz cała sprawa jest dla mnie zupełnie jasna. Burski rzeczywiście strzelał i zranił go. Ale najciekawsze jest to, że Gerber miał wtedy przy sobie trzy tysiące dolarów i te pieniądze znikły bez śladu. Gerber był przekonany, że Burski okradł go i uciekł. Tak przynajmniej wmówił w niego Harden, który był podówczas razem z nimi w szynku.

— Hm... — mruknął policjant. — Wszystko przemawia za tem, że tak się stało, bo dlaczegóż Burke miałby uciekać?

— To robota Hardena, — rzekł Winters. — Znam Burskiego i głowę daję, że ten człowiek nie byłby zdolny do kradzieży. Uciekł, bo Harden wmówił w niego, że czeka go krzesło elektryczne za zamordowanie człowieka. A korzystając właśnie z ucieczki Burskiego, sam zabrał owe trzy tysiące, pewny, że podejrzenie padnie na uciekiniera. Nie dosyć na tem, bo Burski oddał mu skrypt dłużny na dwa tysiące, niby na wydatki na jego dziecko, tą właśnie dziewczynę, która teraz jest tancerką w jego podmiejskiej spelunce. Sprytna sztuka! Odrazu pozbył się wierzyciela i jeszcze trzy tysiące gotówką zarobił.

— Cóż teraz myślicie robić? — pytał dalej Sogan.

— Narazie spróbuję namówić Hardena, żeby dobrowolnie zrzekł się opieki nad dzieckiem Burskiego i oddał ją mnie. Umieściłbym ją w jakim zakładzie dla sierot, a gdy Burski wróci, zajmie się córką.

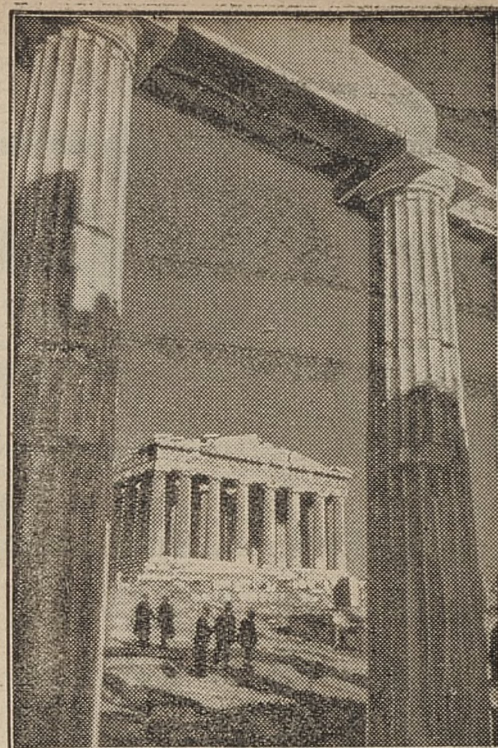
— I spodziewa się pan, że taki Harden odda dziewczynę?

— Powinien. A jeżeli będzie mu chodziło o koszty wychowania, dam mu kilka tysięcy dolarów. Ojciec Haneczki upoważnił mnie do postąpienia w sposób, jaki będę uważał za właściwy.

— Czy Harden wie, że pan przywiózł te drogie kamienie dla Haneczki?

— Zdaje się, że tak, gdyż starał się uśpić mnie, a podczas udanego snu zrewidował mi kieszenie i niewątpliwie musiał spostrzec trzosik z kamieniami, który noszę na gołem ciele.

— Tak... — mruknął Sogan. — W każdym razie powinien pan pilnować się, bo ten Harden — to chytra sztuka. Osobiście go nie znam, ale wiem, że miał i ma tu konszachty z kilkoma wyższemi oficerami policji.



Starożytne budowle Akropolisu w Atenach ściągają z całego świata licznych turystów.

— Wiem o tem i ja — wtrącił się Stefan. — Ma łotr stosunki wszędzie, bo gdy w swoim czasie zażądałem od Towarzystwa Opieki nad Kobietami, żeby odebrali Haneczkę z jego rąk, tak potrafił pokierować sprawą, że wysłany komitet złożył sprawozdanie na jego korzyść i dziewczynę pozostawiono nadal w jego domu.

— Mojem zdaniem najlepiej będzie, gdy zaczekacie na powrót Burskiego i dopiero wtedy ojciec będzie mógł odebrać córkę z jego rąk. Tymczasem radzę czuwać zdala nad Haneczką i czekać spokojnie.

Tak rozmawiając, dojechali na miejsce. Samochód stanął przed niewielkim, skromnym domkiem drewnianym i wszyscy trzej wysiedli. Na odgłos maszyny wyszła z drzwi domu matka Stefana. Była to kobieta lat sześćdziesięciu kilku, o siwych włosach i szczupłej, pooranej zmarszczkami twarzy.

Stefan podbiegł do staruszki i całując ją w rękę rzekł:

— Przywożę ci gości, mamusiu. Oto pan Sogan, dawno już nie widziany nasz przyjaciel, który ledwie dał się zaprosić do nas kolację...

— Jak się pani miewa pani Lubicz? — powitał ją Sogan, podając swą potężną łapę. — Ten smyk — rzekł, wskazując oczami Stefana — narobił tylko pani kłopotu, przywożąc nas tutaj...

— To bardzo nieładnie z pańskiej strony, panie Sogan, że zapomina pan o starych przyjaciołach. Już myślałam, że pan pogniewał się na mnie, że tyle czasu nie pokazał się pan u nas.

— A to, mamusiu, jest pan Winters, który niedawno przyjechał z Ameryki Południowej... Przyjaciel ojca Haneczki...

— Witam pana całem sercem, panie Winters. Proszę bardzo wejść w nasze skromne progi. Syn już opowiadał mi o panu przez telefon. Bardzo proszę...

Gdy weszli, do mieszkania, stół w jadalni był już nakryty.

— Siadajcie, panowie, — rzekła gospodyni, wskazując gościom krzesła. — A ty, Stefanek, musisz pomóc starej matce podawać kolację.

— Może i ja będę potrzebny do pomocy? — zawołał Sogan i skierował się ku drzwiom kuchni. — Dawniej nieraz pomagałem...

— Nie, nie! Pana nie potrzeba. Niech pan siedzi spokojnie i bawi pana Wintersa rozmową. My już sami wszystko załatwimy.

Po chwili ukazał się Stefan z olbrzymim półmiskiem, z którego unosiła się woń starej irlandzkiej potrawy — solonej wołowiny z kapustą.

Soganowi oczy się rozjaśniły na widok narodowego przysmaku.

— A to bal! — zawołał rozradowany. — Że też pani pamiętała o tem, że to moja ulubiona potrawa.

— A tak, panie Sogan, pamiętałam nie tak jak pewien stary policjant, który zapomina o przyjaciołach.

— No, no... tylko niech pani mi ze starością nie wyjeżdża, bo zobaczy pani...

— Nic nie zobaczę. Teraz niech pan bierze się do jedzenia, póki gorące. Ale przedtem mam tu coś na zaostrzenie apetytu.

Wyjęła z szafki sporą butelkę starej, wytrawnej jałowcówki i nalała w kieliszki.

— Trzymałam to wyłącznie dla pana i wreszcie buteleczyna doczekała się. Na zdrowie, panie Sogan!

Wypiła kilka kropel i usiadła przy stole.

Sogan przepił do Wintersa, poprawił drugim kieliszkiem i nalewał już trzeci, gdy matka Stefana odebrała mu butelkę i wskazując na kopiasto nałożony talerz rzekła:

— Niech — no pan zaczeka z tą wódką. Teraz jeść, a zakrapiać można podczas jedzenia.

Sogan spojrzał na talerz i udał ogromnie przerażonego.

— Jakto? To dla mnie? Ależ, proszę pani...

— Niech pan tylko nie udaje przerażonego. Wiem, że apetyt ma pan jak należy. Proszę jeść.

— Już zaczynam. Boję się tylko jednej rzeczy...

— Cóż takiego?

— Że po zjedzeniu takiej góry...

— Nic panu nie będzie — odpowiedziała śmiejąc się.

— Nie o tem chciałem mówić — odparł Sogan. — Boję się, czy po zjedzeniu takiej porcji zdołam zjeść jeszcze drugą.

— Figlarz z pana. No, ale proszę jeść, bo wystygnie.

Całe towarzystwo zabrało się żwawo do jedzenia i przez kilka minut było słychać tylko szczęk widelców o talerze.

Sogan odznaczał się wyjątkowym apetytem. Opróżnił talerz i wbrew wypowiedzianym przed chwilą obawom, poradził sobie jakoś z drugą porcją.

— Dawno już tak nie użyłem — odezwał się do gospodyni, odsapując po zjedzeniu drugiej porcji.



Amerykański nauczyciel śpiewu Sir Thomas twierdzi, że struny głosowe najlepiej wyrabia się w czasie biegu, to też lekcje śpiewu ze swemi uczenicami odbywa na wolnem powietrzu podczas wyścigów.

— Teraz dostanie pan jeszcze coś takiego, o czem wiem, że bardzo pan lubi. No niech pan zgadnie co to takiego?

Sogan zamyślił się głęboko. —

— Coś, co ja bardzo lubię? Wiem, że jest taka rzecz, ale marzyć nie śmię o tem, gdyż to tylko w starej Irlandji umieją dobrze robić.

— Zobaczymy — odparła tajemniczo gospodyni i wstawszy od stołu udała się do kuchni, skąd wróciła po chwili niosąc jakąś potrawę, okrytą na półmisku serwetą.

— A teraz zgadnie pan co to jest? — spytała Sogana.

Policjantowi aż oczy wyszły na wierzch ze zdumienia.

— Ppp — plum — pudding!

— A tak. Plumpudding, panie Sogan. I spodziewam się: że nie gorszy od tych, które robią w pańskiej Irlandji.

Wśród żartów i śmiechu spożyto doskonale zrobioną legumínę, poczem pani domu podała kawę.

— Teraz możecie panowie pozapalać cygara i pogadać. Ja tymczasem posprzątam, bo wiem, że będzie potrzebny stół do kart. Prawda, panie Sogan.

Sogan spojrzał na Wintersa i skinął potakująco głową.

— Jeżeli pani pozwoli, zagramy sobie kilka partyjek w pinakla. Pan Winters koniecznie chce grać, a ja... hm... ostatecznie, dla towarzystwa...

— Tak, tak. Wiem, że pan wogóle kart nie lubi i jeżeli pan grywa, to tylko z musu. Pamiętam dobrze te czasy, kiedy pan był naszym sąsiadem...

Stefan przyniósł już karty i pomagał matce posprzątać ze stołu.

Sogan chciał zapalić jedno ze swoich cygar, gdy Winters wstrzymał go słowami:

— Chwileczkę panie Sogan. Mam tu kilka niezłych cygar, a po takiej kolacji to już warto zapalić coś porządnego. Proszę bardzo...

Podał mu hawańskie cygaro, owinięte w arkusik błyszczącej cynfolji.

Sogan odwinął cygaro, obejrzał je okiem znawcy i z niekłamanem zadowoleniem zapalił, odgryzłszy koniuszek...

— Hm... — przemówił między dwoma kłębami wonnego dymu — gdybym był miljonerem, albo przynajmniej kapitanem policji, nie paliłbym innych. Znakomite. Kosztują chyba po dwadzieścia centów sztuka...

— Coś koło tego — odpowiedział Winters, który zapłacił po dolarze za te cygara, chcąc sprawić przyjemność staremu policjantowi.

— No panie Winters, teraz zmierzymy się. Ostrzegam pana, że ze mną nie łatwo wygrać. Po ile gramy?

— To już od pana zależy?

— Ćwierć dolara nie będzie za wysoko?

— Zgoda zaczynajmy.

Stefan przygotował papier i ołówek, a dwaj gracze zabrali się do partji.

Sogan był w swoim żywiole. Coraz to zwracał się z żartami do matki Stefana, to znów opowiadał oklepane irlandskie dowcipy, pokpiwał ze Stefana, lub przechwalał się swoją umiejętnością gry.

Grali sześć partyj, z których Winters jedną tylko wygrał.

— Wystarczy tego dobrego na dziś — ozwał się Sogan, zgarniając wygrane cztery dwudziestopięciocentowe monety. — A mówiłem panu, że ze mną trudna sprawa w pinakla.

— Zastrzegam sobie rewanż — rzekł na to Winters, udając wielce zmartwionego z powodu przegranej. — Zobaczymy na drugi raz!

— Kiedy pan zechce gotów jestem — mówił rozpromieniony policjant. — A teraz pogadamy chwilę i do domu. Jutro służba.

Rozmawiali o obojętnych rzeczach przez kilkanaście minut, poczem Sogan i Winters podziękowali gospodyni za przyjęcie, pożegnali się i wyszli razem, zostawiając Stefana z matką.

W drodze do podziemnej kolei Winters zwrócił się do towarzysza ze słowami:

— Bardzo mi się podoba ten Stefan i jego matka. Już z twarzy ich widać, że to zacni, poczciwi ludzie, prawda?

— Ma pan rację. Znam ich oddawna. Stefka — od małego dziecka i przekonałem się, że to chłopak szczery, jak złoto. A stara Lubiczowa — to kobieta wielkiego serca i dobroci. Po macoszemu los ją potraktował. Znałem jej męża i ceniłem, jako dzielnego i uczciwego

człowieka. Sąsiadowaliśmy z sobą, jeszcze za jego życia.

Winters zamyślił się.

— Chciałbym pomóc temu chłopcu do spełnienia jego marzeń — rzekł po chwili — a równocześnie chciałbym uszczęśliwić córkę mego serdecznego przyjaciela, Burskiego, któremu życie jestem winien. Pan ma wiele doświadczenia i zna pan tutejsze prawa, panie Sogan. Niech mi pan poradzi, w jaki sposób można by nakłonić Hardena, żeby pozwolił na małżeństwo córki Burskiego ze Stefanem. Czy istnieją środki, któremi możnaby go zmusić, żeby zrzekł się opieki nad tą dziewczyną?

— Jeżeli jest niepełnoletnia, a on nie chce wypuścić jej z domu, — prawo nie może go zmusić, o ile nie będzie dowodów, że nadużywa swej władzy opiekuna lub prowadzi wychowanicę na złą drogę.

— Panna Burska wkrótce będzie miała lat osiemnaście, zdaje się, że za kilka miesięcy, a w tym czasie niewątpliwie powróci jej ojciec i będzie mógł odebrać swe dziecko, ale obawiam się, że zanim to nastąpi, Harden zgotuje dziewczynie jakieś nieszczęście. To człowiek, który do każdej zbrodni jest zdolny.

— Wierzę panu. Trudno mi jednak poradzić, jak z nim postąpić. A szkoda byłoby oddać mu cały majątek tej sieroty. Z tego, co pan opowiadał, widzę, że Harden jakimś djabelskim sposobem uzyskał wpływ na nią, skoro zgodziła się wziąć od pana te kamienie, które pan dla niej przywiózł, i jemu oddać.

— Wpływ ten uzyskał kłamstwami o jej ojcu i groźbami, że pośle go na krzesło elektryczne, ale zdaje mi się, że po mojem ostrzeżeniu biedna dziewczyna nie będzie już wierzyć mu tak ślepo.

— Czy będzie pan miał sposobność pomówienia z tą dziewczyną w cztery oczy — zapytał nagle Sogan.

— Nie wiem. Pojadę tam jutro, ale jestem przekonany, że Harden będzie tak manewrował, żebym nie mógł sam na sam z nią pomówić. To zbyt chytry człowiek.

— Bo widzi pan, gdyby poprostu namówić ją, żeby potajemnie opuściła dom Hardenów, zabrałby ją pan do New Yorku i w taki sposób ochronił od możliwej krzywdy ze strony tego miłego opiekuna. Przypuszczam, że nie trzymają jej tam jak w niewoli i od czasu do czasu może przecie wychodzić z domu?

— Tego nie mogę powiedzieć, ale zdaje mi się, że Harden strzeże każdego jej kroku, szczególnie teraz, gdy wie, że mam dla niej spory majątek.

— Rzecz prosta — ciągnął dalej Sogan — że gdyby panna Burska uciekła, Harden narobiłby gwałtu i poszukiwałby jej przez policję, a pana, o ile wiedziałby, że to za pańską głową, oskarżyłby o porwanie nieletniej dziewczyny, ale wtedy sprawa nabrałaby rozgłosu i odpowiednie władze musiałyby zaopiekować się uciekinierką, a zanim doszłoby do procesu, dziewczyna doszłaby do pełnoletności i wówczas Harden musiałby zrzec się wszelkich praw do niej.

Wintersowi oczy się zaśmiały.



W Alpach bawarskich zbudowano nową szosę dla użytku turystów. Na zdjęciu piękny most betonowy przerzucony przez dolinę.

— Panie Sogan, — zawołał, ściskając dłoń policjanta — to jedyna rada i serdecznie dziękuje panu za nią. Haneczka ma do mnie zaufanie i zgodzi się na wszystko, co jej zaproponuję. Znajdę sposobność do porozumienia się z nią i czy ustnie, czy pisemnie nakłonię ją, żeby następnej nocy wymknęła się z domu. A zanim Harden spostrzeże się, że znikła, będziemy już daleko. Odpowiednie pomieszczenie dla niej znajdę z łatwością.

Sogan śmiał się szeroko.

— Ładną radę dostał pan od policjanta! — rzekł, kiwając głową. — Porwać nocą dziewczynę z domu opiekunów i uciekać z nią do takiego bagna zepsucia, jakiem jest New York!

— Tak jednak postąpię, — mówił gorączkowo Winters — bo to dla dobra tej sieroty. Stefan mi pomoże wszystko przygotować...

— A wierzę, wierzę, — wtrącił policjant — w to mu graj!

Doszli do stacji kolei podziemnej.

— Może głupio poradziłem — rzekł już poważnie Sogan — ale zdaje mi się, że to jedyny sposób wydobycia tej dziewczyny z rąk Hardena. Ale zaznaczam, że to sprawa niebezpieczna. Jak się uda — dobrze, ale gdyby was Harden złapał z nią w pobliżu domu, mogłoby być źle. Wtedy prawo byłoby za nim.

— Uda się, panie Sogan, napewno się uda — zapewnił go Winters i pożegnał serdecznym uściskiem ręki.

Na drugi dzień rano Winters pojechał do domu Stefana i wtajemniczył go w cały plan uprowadzenia Haneczki. Chłopak przyobiecał wystarać się o samochód i uradowany zaproponował, żeby Haneczkę umieścić w domu jego matki. Winters jednak nie zgodził się na to, mówiąc, że mogłaby na tem ucierpieć opinja panny.

— Tymczasem panna Burska schroni się w którymkolwiek klasztorze — rzekł stanowczo — a gdy ojciec jej wróci, zamieszka z nim razem. Wtedy będziecie mogli widywać się choćby codziennie, naturalnie, jeżeli stary Burski pozwoli. Do tego czasu nie będziesz miał do niej dostępu. A jestem pewny, że Burski polubi cię, jak ja polubiłem.

— Trudno — odpowiedział Stefan. — Czekałem tak długo, muszę i dłużej poczekać.

— Tak, mój synu. Więc postaraj się, żeby na jutro wieczór samochód był gotowy. Ja dziś wieczorem tam pojadę i Haneczkę przygotuję. Jeżeli zechcesz widzieć się ze mną jutro w dzień, zastaniesz mnie w hotelu.

Wyszli razem z domu. Stefan udał się do redakcji, Winters do hotelu Commodore.

Morderstwo na podmiejskiej drodze

Przyszedłszy do swego pokoju, Winters napisał niedługi list na ćwiartce papieru i zamiast włożyć go do koperty, złożył starannie w mały kwadracik, który owinął innym papierem, żeby pismo nie zatarło się w kieszeni. Po południu wyszedł do miasta i wstąpił do jednego z jubilerów, gdzie sprzedał za kilkaset dolarów trzy niewielkie kolorowe kamyki.

Resztę popołudnia spędził na przechadzce po mieście, a gdy nadeszła godzina dziewiąta wieczór, wsiadł w międzymiejski tramwaj i pojechał w kierunku „Rajskiego kącika". Przybywszy do właściwej stacji, wysiadł i dalszą drogę odbył piechotą.

Na kilka minut przed dziesiątą wszedł do sali restauracyjnej Hardena. Pusto tu jeszcze było i zupełnie cicho. Kelnerki siedziały, gawędząc przy jednym stoliku, a za bufetem, jakby w przewidywaniu, że Winters nadejdzie, kręcił się sam gospodarz. Haneczka była w swym pokoiku na górze.

Na widok wchodzącego przez twarz Hardena przesunęło się coś w rodzaju ledwie dostrzegalnego uśmiechu, a w oczach mignął niesamowity blask. Winters przeszedł przez salę i stanął przy bufecie.

— Jak się pan miewa, panie Harden? — rzekł do gospodarza, który udawał mocno zajętego ustawianiem kieliszków na tacy.

Harden obrócił się szybko, jak zaskoczony i udając zdziwienie, zawołał:

— A pan Winters! Bardzo się cieszę, że pan przyszedł, bo przyznam, że byłem niespokojny o pana. Tak pan nagle znikł wtedy z pokoju...

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

— Poprostu wyszedłem pocichu, nie chcąc sprawiać panu kłopotu swoją osobą. Słabo mi się zrobiło i chciałem odetchnąć świeżem powietrzem. A gdy raz wyszedłem na dwór, nie myśląc, że mogę pana zaniepokoić, poszedłem do stacji tramwaju i pojechałem do miasta. Niemniej dziękuję panu za troskliwość.

Usiadł przy stoliku i poprosił o szklankę wina.

Harden skinął na kelnerkę, żeby zostawiła gościa jemu i sam postawił przed Wintersem napój.

— Dobrze, że pan przyszedł — rzekł do Wintersa, patrząc na niego z ukosa. — Właśnie dziś dopytywała się o pana moja wychowanica, panna Burke. Mówiła, że ma ważny interes do pana.

— Tak? — spytał Winters, nie mogąc ukryć niepokoju, który go ogarniał, — Bardzo chętnie z nią porozmawiam.

— A teraz najwłaściwsza pora, bo gości jeszcze niema i panna Burke ma najmniej z godzinę czasu. Niechże pan posiedzi, a ja sprowadzę ją z jej pokoju. Śpi pewno jeszcze, to potrwa jakiś czas zanim się ubierze i zejdzie.

Domówiwszy ostatnie słowa, skłonił się lekko Wintersowi i wyszedł drzwiami, prowadzącemi do mieszkania. Zamiast jednak iść, jak zapowiedział, do pokoju Haneczki, pobiegł do aparatu telefonicznego i kazał połączyć się z numerem podanem przez Gerbera. Po upływie kilkunastu sekund w słuchawce ozwał się głos dawnego jego wspólnika.

Rozmowa przez telefon nie trwała długo. Harden w niewielu słowach zawiadomił Gerbera, że oczekiwany gość przyszedł i że nadeszła pora działania.

— Czekaj na mnie za domem, przed tylnem wejściem z ogrodu, o godzinie dwunastej, — zakończył szynkarz instrukcje. — Nie pokazuj się nikomu. Reszty dowiesz się na miejscu.

Zawiesił słuchawkę i poszedł na górę do pokoju Haneczki.

— Jak się masz, mała? — spytał wchodząc do pokoiku.

Haneczka drgnęła na dźwięk jego głosu. Obecność opiekuna zawsze działała na nią niepokojąco. Odłożyła książkę, której czytaniem była zajęta i spojrzała pytająco na Hardena.

— Słuchaj, moje dziecko — rzekł, siląc się na łagodność — przyszedł pan Winters i siedzi na sali. Chciałbym, żebyś w mojej obecności zażądała od niego tych kamyków, które ojciec przysłał dla ciebie. Wszak pamiętasz, że obiecałaś oddać mi je jako pożyczkę...

Haneczce przypomniało się ostrzeżenie Wintersa i równocześnie przyszło jej na myśl, że ten przyjaciel jej ojca nie dopuści do tego, żeby Harden zagarnął jej własność. Skinęła więc potakująco głową i rzekła:

— Pamiętam, panie Harden i powiem panu Wintersowi, że chcę, żeby mi oddał wszystko,, co dla mnie przywiózł. Tylko nie wiem, czy pan Winters ze-



Kobiety francuskie są zupełnie odsunięte od wyborów, jednakże mimo to kobiece organizacje przeprowadzają prowizoryczne wybory, jako demonstracje przeciwko odjęciu im prawa głosowania.

chce tak odrazu zgodzić się na moje żądanie...

Harden machnął ręką.

— To już moja rzecz — rzucił lekceważąco. Nie zechce oddać dobrowolnie, postaramy zmusić go do tego przez sąd. Chociaż nie widzę powodu, dlaczego miałby się wzdragać... Skoro mu powiesz, odda bez trudności. Zresztą od ciebie zależy, żebyś wpłynęła na niego Pamiętaj, że los twego ojca mam w rękach — dokończył groźnie.

Haneczka poprawiła włosy i nie mówiąc słowa, stanęła w gotowości do pójścia do sali, gdy Harden zatrzymał ją, mówiąc:

— Teraz jeszcze nie pora. Muszę być obecny przy waszej rozmowie, a w tej chwili nie mam czasu. Siedź jeszcze w pokoju aż ja przyjdę po ciebie, albo przyślę Gretę. Winters może spokojnie poczekać z godzinę. A jeżeli nie będzie czasu przed twoim występem w sali, rozmówicie się po tańcu.

Nie życzył sobie, żeby Winters mówił z Haneczką zanim Gerber stawi się na miejsce. Gdyby bowiem Winters nie chciał oddać Haneczce kamieni i zaraz opuścił „Rajski kącik“, cała sprawa byłaby poplątana o tyle, że Winters nie przyszedłby więcej i wypadałoby szukać go w mieście, a to nastręczało poważne trudności i było znacznie niebezpieczniejsze od napadu w nocy, gdzieś na drodze do stacji tramwajowej.

Tymczasem do sali na dole przybyło kilkanaście osób i rozpoczynał się zwykły ruch wieczorny. Harden zszedłszy z góry, otworzył drzwi sali i z zadowoleniem zauważył, że Winters siedzi na dawnem miejscu i czyta gazetę, popijając wino.

Podszedł do stolika i odezwał się wesoło:

— Chciałem żeby Haneczka zaraz przyszła do nas, ale nie miałem serca budzić jej. Tak smacznie śpi, że postanowiłem zaczekać godzinkę, aż się sama obudzi. Jej występ będzie koło dwunastej, więc niema się co spieszyć. A w dzień skarżyła się, że zeszłej nocy wcale nie spała, bo dokuczał jej ból zębów. Nic dziwnego więc, że teraz odsypia nieprzespaną noc.

— Szkoda — rzekł Winters — chciałem wcześniej wrócić dziś do domu, bo i ja nie tego się czuję. Ale skoro tak, muszę poczekać i dowiedzieć się, jaki ona ma do mnie interes.

Wkrótce ozwały się w sali dźwięki muzyki i ruch panował coraz większy. Coraz to nowi goście przyjeżdżali z miasta i zasiadali przy stolikach. Dochodziła godzina dwunasta.

Winters siedział dalej sam jeden przy swoim stoliku i obserwował ogólną zabawę na sali. Czuł się dziwnie nieswojo w tem towarzystwie i chwilami żałował, że nie wziął z sobą Stefana na tę wycieczkę. Kilkakrotnie upewnił się, czy napisana przez niego kartka do Haneczki znajduje się w kieszeni i zapytywał się w myśli, czy uda mu się oddać ją dziewczynie tak, żeby nikt tego nie zauważył.

Pas z drogiemi kamieniami Burskiego miał jak zawsze na gołem ciele. Nie rozstawał się z nim nigdy, nawet w nocy w swoim pokoju w hotelu nie zdejmował go z siebie. Nie wiele z nich ubyło, gdyż Winters był człowiekiem oszczędnym i wydawał tylko tyle, ile wymagała konieczna potrzeba. Przez cały czas sprzedał zaledwie kilkanaście drobniejszych kamieni na podróż i utrzymanie w New Yorku, a część uzyskanych pieniędzy posłał swej żonie, która mieszkała w innem i nie miała środków na utrzymanie. Burski upoważnił go do wzięcia połowy wszystkiego, ale on nie przyjął daru, a te pieniądze, które posłał żonie, miał zamiar oddać co do grosza Burskiemu czy jego córce.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

3)

Wanda i profesor wzięli ślub wczesnym rankiem w starym kościołku, wybudowanym staraniem pierwszych emigrantów portugalskich. Z początku były pewne trudności, gdyż Stawiński zbyt krótko przebywał w parafji, jednakże w końcu ksiądz zgodził się na udzielenie ślubu.

Po ślubie szczęśliwi nad wyraz spędzili tydzień w Paineiras, jeżdżąc kolejką zębatą na Corcovado, słuchając na skałach szumu oceanu, wsłuchani w jego pomruk, siedzieli godzinami przytuleni do siebie, w promieniach złotego słońca.

Powrócili po tygodniu do Rio de Janeiro z prawdziwym żalem. Stamtąd wyjechali natychmiast do Kurytyby, w Paranie, gdzie Wanda miała czekać na powrót ekspedycji wgłąb Brazylji.

Z Rio de Janeiro profesor wysłał obszerny list do Tomasza, w którym wyraził mu szczere współczucie, ciesząc się, iż został uratowany. Nie może jednak do niego przyjechać, gdyż nie może dłużej odwlekać swej wyprawy. Przy końcu listu, wspominając o tem jakby mimochodem, nadmienił, iż przed tygodniem ożenił się.

List ten niby był utrzymany w serdecznym, ciepłym tonie, ale było w nim coś sztucznego, brzmiała w nim jakaś nuta nieszczerości. Profesor, pisząc go, wstydził się poprostu przed samym sobą. Wyrzucał sobie swój egoizm uważając, że postępuje niewłaściwie wobec serdecznego przyjaciela, którego namówił na tę podróż. Jednakże miłość okazała się silniejszą od przyjaźni.

Sumienie nakazywało mu, aby wyjechał natychmiast do Victorji i zaopiekował się przyjacielem, ale poprostu nie potrafił się rozstać z Wandą.

Przed ślubem bał się odjechać, gdyż wyczuwał, iż chrzestna matka Wandy odnosi się z najwyższą nieżyczliwością do niego, nazywając go stale „przybłędą". Obawiał się, że w czasie jego nieobecności może wpłynąć na Wandę i małżeństwo ich mogłoby niedojść do skutku. Po ślubie zaś poprostu brakło mu sił, aby pozostawić samą ukochaną Wandę. Wobec czekającego ich dłuższego rozłączenia, żal mu było każdej chwili, spędzonej zdala od niej.

Prosił dalej w liście Tomasza, aby z Victorji udał się koleją do Irraty i tam oczekiwał od niego dalszych instrukcyj.

List ten zapieczętował, czując dla siebie samego prawdziwą pogardę. Jednakże po chwili już wzruszył gniewnie ramionami. Rozsądek dochodził do głosu. Właściwie po co ten głupi sentymentalizm? I tak by mu nic nie pomógł swoim przyjazdem. W szpitalu ma Tomasz wszystko, czego mu tylko potrzeba.

Miał jeszcze jeden list do napisania. Musiał zawiadomić rodziców Tomasza o wypadku i ocaleniu go w czasie katastrofy okrętowej. Ten list poszedł mu już o wiele łatwiej.

W oględnych słowach donosił o losie ich syna, o jego pobycie w szpitalu. Zakończył obietnicą czuwania nad Tomaszem.

Profesor był bezspornie uczciwym człowiekiem. Był uczynnym kolegą, wyrozumiałym wychowawcą, uważany powszechnie za zacnego człowieka. Jednakże w tej chwili, kiedy miał uczynić ofiarę ze swych najbardziej osobistych spraw, egoizm w nim zwyciężał — nie mógł dla przyjaciela wyrzec się ani chwili swego miłosnego szczęścia.

Opuszczał Rio de Janeiro bez cienia żalu, choć tutaj przecież znalazł swoje szczęście, choć z tego miasta towarzyszyć mu będą wszędzie najpiękniejsze wspomnienia jego życia.

Wyjeżdżał przedewszystkiem z ulgą, gdyż gorąco panujące tutaj wyczerpywało go niesłychanie.

Styczeń właśnie dobiegał końca i kiedy w dalekiej Polsce ziemia tonęła w śniegu, tutaj z nieba padał żar na rozpalone mury i chodniki miasta.

Profesor wiedział, że w Kurytybie jest o wiele chłodniej. Cieszył się też zawczasu na myśl o rozkoszy przebywania w łagodniejszym klimacie.

— — — — — — — —

W Kurytybie na progu domu przyjęła ich chlebem i solą rozczulona niańka.

Cały dom odświętnie był przybrany kwiatami. Stół w jadalni bielił się śnieżnym obrusem.

Profesor spędził znowu tutaj kilka dni niczem niezamąconego szczęścia. Z ciężkiem sercem zabrał się do pakowania koniecznych na drogę rzeczy i przyrządów.

Zabierał więc różne surowice przeciwko ukąszeniom żmij i jadowitych owadów. Zabierał sidła, pętlice, wędki i całą moc przeróżnych przedmiotów, niezbędnych dla badania lasów.

Wanda ze łzami w oczach pomagała mężowi przy pakowaniu.

Profesor ze smutkiem głębokim żegnał się z żoną i miał ochotę odłożenia ekspedycji i pozostania przy Wandzie. Lecz pocóż go właściwie wysłano do Brazylji?

Jechał z jednym metysem, właścicielem koni i dwoma murzynami.

Wóz podskakiwał ustawicznie po wyboistej i nierównej drodze, a słońce prażyło nawet poprzez grube płótno budy. Konie szły ospale i leniwie. Kierowali się w stronę rzeki Rietta, gdzie puszcze były jeszcze zupełnie nieznane i obfitowały w niezwykle ciekawą faunę.

Na postoju mieli zatrzymać się w facjendzie pana Wawrzyńczaka, właściciela obszernych plantacyj „herwy" i stamtąd przeprawić się łódką przez rzekę na drugi brzeg. Tam mieli zbudować namiot i rozpocząć badania.

* *

Tomasz obudził się w szpitalu z obandażowaną ręką i głową. Przez dłuższą chwilę nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie się właściwie znajduje i co się z nim stało?...

Dopiero po dłuższym czasie zebrał myśli, wróciła mu pamięć, która przyniosła tragiczne wspomnienia straszliwych chwil katastrofy na morzu.

Przypomniała mu się zimna toń oceanu, fale wody słonej, zalewającej mu twarz...

Pamiętał, że nagle, gdy światło zgasło, statek przechylił się i fale wdarły się na pokład, zbiły go z nóg, porwały ze sobą. Coś twardego uderzyło go w ramię, uderzyło tak mocno, iż rozluźniło uścisk, jaki go łączył z Wandą. Poczuł wtedy szalony ból i stracił przytomność...

— — — — — — — —

Przejął go teraz niepokój o los Wandy, począł się dopytywać pielęgniarek, lekarzy, ale nikt nie był w stanie dać mu wyjaśnień, co się stało z jego rodaczką.

Statek, który przybył na pomoc, wyratował tylko kilkudziesięciu mężczyzn, trzy kobiety w starszym wieku i kilkoro dzieci.

Poprosił o dzienniki z opisem katastrofy. Dowiedział się z nich, że powodem zatonięcia okrętu była eksplozja kotła z nieznanych dotąd przyczyn. Nazwisk dwunastu osób z pośród ofiar katastrofy nie zdołano dotąd ustalić.

Opanowała go rozpacz.

Tkwiła mu ciągle w pamięci ukochana twarz Wandy, rozjaśniona, uduchowiona, gdy wyznawała mu w ostatnim momencie, że go kocha.

Przeglądał znowu pilnie listę uratowanych osób. Nie znalazł wśród nich nazwiska Wandy...

Zdawało mu się, że ją widział, jak walczyła z falami oceanu... Scena ta stała mu ciągle w pamięci. A więc nie ujrzy jej już nigdy!...

Jedynem wspomnieniem po niej będą dla niego te ostatnie chwile, jakie spędzili razem — ten ostatni —pocałunek, jaki ich połączył w ostatnim momencie katastrofy.

— — — — — — — —

Wybuchy rozpaczy, w czasie których tarzał się po łóżku, bił poranioną głową o krawędzie, opóźniały jego powrót do zdrowia.

Tygodnie mijały, a Tomasz z trudem dopiero zaczął się podnosić z łóżka. Wychudł, zczerniał, policzki mu zapadły.

Ale, że młodość wszystko zwycięża, przeto i Tomasz stopniowo przychodził do zdrowia i w końcu marca mógł już opuścić mury szpitala.

Z Rio de Janeiro nadesłano mu paczkę listów z kraju i pieniądze.

Czytał listy matki, pisane bezładnie, w których było cierpienie i niepokój, błagające go, aby powracał do kraju.

Rodzice zaklinali go na wszystko, by wracał do Polski. Prosili, aby nie jechał, po przyjściu do zdrowia w głąb Brazylji.

Kartki listów nosiły ślady łez, poszczególne litery były pozamazywane.

Tomasz tęsknił za rodzicami, lecz z drugiej strony żywił jeszcze słabiutką nadzieję, że może odnajdzie Wandę...

Tam, w Polsce, byłby od niej odgrodzony oceanem; dla Tomasza wizja Wandy złączona była z morzem: na oceanie ją poznał i na oceanie ją utracił...

— — — — — — — —

Tomasz napisał list do rodziców bardzo serdeczny, pełen przywiązania głębokiego i szczerego. Uspokajał ich co do swego stanu zdrowia, ale nie obiecywał rychłego powrotu.

„Wrócę z Adamem" — to było wszystko, co mógł im obiecać.

Pociąg do Irraty odchodził dopiero w nocy.

Kierownik szpitala, leniwy metys, po długim namyśle poradził Tomaszowi, aby zajechał do hotelu „Pod dobrą nadzieją".

— Będzie pan miał cudny widok na ocean — dodał metys, uważając to za najważniejszy argument, przemawiający właśnie za wyborem tego hotelu.

Tomasz podziękował mu uprzejmie za opiekę w szpitalu i niebawem jechał już taksówką do hotelu.

Czteropiętrowy gmach z marmurowemi schodami, z tarasami opuszczającemi się ku morzu, mile zdziwił Tomasza, który spodziewał się, że pod nazwą „Pod dobrą nadzieją" kryje się jakaś oberża czy zajazd.

Zażądał pokoju z widokiem na morze. Zaprowadzono go na pierwsze piętro do dużego pokoju z balkonem.

Po wyjściu służącego, stanął na balkonie i oparty o poręcz wpatrywał się w bezmiar oceanu. We wzroku jego malowała się wprost nienawiść...

Oto ocean, ten złowrogi, okrutny ocean, który zabrał mu Wandę — w tej chwili jest łagodny, podstępnie cichy i gładki...

— Wando — szepnął Tomasz — Wando... gdzie jesteś, co się stało z tobą?...

Nie dopuszczał myśli, że Wanda umarła, że jej już niema. Bronił się przed tem przypuszczeniem wbrew całej bezlitosnej logice faktów.

Wreszcie dokuczliwy upał zmusił go do cofnięcia się do pokoju. — Zamknął drzwi, zapuścił ciemne zasłony okien i począł chodzić po pokoju.

W pewnym momencie przystanął i nacisnął guziczek dzwonka.

W drzwiach zjawił się służący.

— Proszę mi się wystarać o adres jakiegoś biura wywiadowczego — rzekł Tomasz.

Służący skłonił się w milczeniu i wyszedł z pokoju.

Po paru chwilach zapukano do drzwi i zjawił się sam zarządzający hotelem. Minę miał niepewną, jakby był zmieszany.

— Pan pytał się o adres biura wywiadowczego — a czy możnaby wiedzieć ,w jakiej sprawie chce się pan do tego biura zwrócić?

— Parę miesięcy temu uległem katastrofie na „Berangerji" — odrzekł Tomasz. — Jechała ze mną pewna młoda osoba... — a widząc pytający wzrok dyrektora hotelu, dodał, aby wyjaśnić swój stosunek do owej osoby — to była moja narzeczona... Otóż, nie wiem, co się z nią stało. Niema jej na liście uratowanych, choć kilka statków przybyło na ratunek. Chciałbym więc zaangażować jakiegoś wywiadowcę, któryby rozpoczął poszukiwania za zaginioną.

Tomasz męczył się straszliwie wypowiadając te słowa, przychodziło mu z wielkim trudem mówić o tem nieszczęściu. Wspomnienie katastrofy, w której utracił kobietę, tak bardzo kochaną, bolało go prawie fizycznie.

Dyrektor hotelu rozpogodził się. Wyjaśnienia Tomasza uspokoiły go już zupełnie. Z doświadczenia długoletniego wyniósł serdeczną nieufność do wszelkiego rodzaju spraw, w których trzeba było wzywać pomocy wywiadowców. W portowem mieście, gdzie codziennie przybija do brzegu tyle okrętów, zwożących z całego świata ludzi czujących głęboki wstręt do prawa, kręci się mnóstwo ciemnych typów, snujących ponure, zbrodnicze sprawy. Terenem ich działania są hotele, zajazdy i spelunki.

Nie dobrze jest, gdy policja wmiesza się do owych spraw. Wtedy wynikają nieprzyjemności dla wszystkich, którzy mają jakikolwiek związek z daną aferą...

To też dyrektor hotelu po tak uspakajającem wyjaśnieniu zatarł ręce z zadowolenia.

— Ależ owszem, natychmiast się tem zajmiemy — właśnie niedaleko hotelu mamy tego rodzaju agencję. Przyślę panu zaraz chłopca, który pana tam zaprowadzi. Ale trochę później, bo teraz tam nie pracują... taki upał! Wszyscy chłodzą się w cukierniach.

Dyrektor namyślał się przez chwilę, poczem dodał:

— Najlepiej jednak będzie, jeśli tego pana przyprowadzimy tutaj i w hallu omówicie panowie całą tę sprawę...

Tomasz zgodził się.

Po kilkunastu minutach oznajmiono mu, że w hallu czeka na niego detektyw z biura wywiadowczego. Szelestowski zeszedł na dół. W hallu spotkał człowieka niskiego wzrostu, o małych, ruchliwych oczkach.

— To pan się chciał ze mną widzieć, nieprawdaż? — zapytał Tomasza detektyw wcale niezłą francuszczyzną.

— Tak, chciałem z panem pomówić — odpowiedział Tomasz, oglądając się za miejscem, gdzieby można posiedzieć swobodnie.

Usłużny piccolo otworzył mu drzwi do tak zwanej „orzeźwiającej" sali, gdzie nieliczni goście siedzieli pod elektrycznemi wachlarzami, popijając leniwie lemoniadę i rozmawiając sennie.

W sali tej panowała nuda i lenistwo. Elektryczne wachlarze wpływały niewiele na straszliwe gorąco.

Usiedli pod palmami i Tomasz zamówił lemoniadę.

Potem zwrócił się do detektywa, który nazywał się Mantuellos i wyjaśnił mu swoją sprawę.

Detektyw słuchał niezbyt uważnie, biegając nieustannie swojemi małemi oczkami po sali i powtarzając co chwila „dobrze" na znak, że słucha.

Prawdziwe zainteresowanie okazał dopiero wtedy, gdy Tomasz wymienił dość znaczną sumę nagrody, za pomyślny wynik poszukiwań.

Mantuellos zmienił się wprost nie do poznania. Wydobył szybko notes, począł notować sobie szczegóły, które przed chwilą uważał za mało ważne, i widać było, że gotów jest z całą gorliwością zabrać się do poszukiwań.

Zapisał sobie imię i nazwisko Wandy, nazwę statku, datę katastrofy, drżącą z chciwości ręką zainkasował zaliczkę i uniżenie pożegnał się z Tomaszem, obiecując, że niebawem da znać o wynikach poszukiwań.

Po tej rozmowie, która go niesłychanie zmęczyła, Tomasz udał się do swego pokoju, aby odpocząć. Wyczerpany upałem zasnął i obudził się nad wieczorem. Był jeszcze bardziej znużony. Otworzył drzwi na balkon — uderzyło go zupełnie chłodne powietrze. Orzeźwił się.

Poczuł głód. Do obiadu miał jeszcze godzinę czasu. Patrzył znowu na ocean. Na pustym przed paroma godzinami brzegu czerniała teraz ruchliwa masa ludzka, dalej kołysały się okręty, dymiły parowce.

Zmierzch zapadał szybko. Błękit nieba ciemniał jakby czarna mgła opadała na świat. Na niebie zaczęły migotać gwiazdy, zapalając się szybko prawie jednocześnie ze światłami lamp elektrycznych, idących wzdłuż wybrzeża.

Tłum przerzedził się, ludzie rozchodzili się na obiad.

Do pokoju zapukał służący.

— Czy pan zejdzie na obiad, czy też każe pan sobie przynieść do numeru?

— Zejdę na dół.

— — — — — — — —

O godzinie wpół do pierwszej w nocy wyjechał koleją do Irraty.

Linja kolejowa biegła wzdłuż stepów i puszcz brazylijskich. Miejscami przecinała skraj lasów, to znowu przechodziła obok rzadko rozsianych osiedli ludzkich. Pięła się pod góry lub też sunęła przytulona do zrębów nad przepaścią.

Podróż trwała dwa dni i trzy noce. — Pociąg zatrzymał się kilka razy na małych drewnianych stacyjkach, gdzie służbę kolejarzy pełnili metysi i mulaci.

Koło tych stacyj koncentrowało się życie puszczy. Widać było tartaki, smolarnie, stada bydła i osiedla ludzkie.

Wreszcie dotarli do Irraty. Miasto leżało w dolinie i z pociągu, zjeżdżającego z góry, widać je było jak na dłoni. — Wielka plama zieleni opasana błękitną wstęgą rzeki. Miasteczko było niewielkie, domki wyglądały jak zabawki dziecinne.

Było to małe, prowincjonalne miasto brazylijkie, słabo rozbudowane, o domkach parterowych i szerokich, niebrukowanych ulicach.

Tomasz wyczerpany prawie trzydniową podróżą i upałem, marzył przedewszystkiem o odpoczynku.

Ze stacji kazał się zawieźć wprost do pana Cezarego, gdzie miał otrzymać dalsze wskazówki, jak dotrzeć do pana profesora.

Państwo Cezarowie mieszkali w dość obszernym domu, obok głównego traktu.

Sklep, w tem uczęszczanem miejscu — typowa „fonda“ brazylijska, stanowił doskonały interes. Można było w nim dostać wszystkiego, począwszy od towarów spożywczych, a skończywszy na konfekcji i narzędziach rolniczych. W sklepie tym kupowano jednocześnie od klientów skóry, ptaki, zboże, upolowaną zwierzynę.

Z prawdziwem zadowoleniem zapukał do tego ładnego domku, obrośniętego pnącemi różami i winem.

Przyjęto go serdecznie, ugoszczono i z czego był najbardziej zadowolony, zaprowadzono do dużego, choć dość skromnie umeblowanego pokoju, gdzie mógł odpocząć po trudach podróży.

* * *

Profesor Stawiński, po krótkim pobycie u państwa Wawrzyńczaków, u których zostawił część swoich bagaży, przy pomocy murzynów i metysów, zbudował łódź i przeprawił się przez rzekę.

Rozbił namiot parę kilometrów w głębi puszczy, urządził się, rozpoczął badania, dla których przecież ruszył na tę wyprawę. Lecz uczonego pożerała tęsknota za żoną. Gdy leżał w szałasie i patrzył się na czerniejący las, na szafirowe niebo usiane gwiazdami i gdy wsłuchiwał się w głos puszczy, myślał ciągle o swej ukochanej Wandzie. We śnie przychodziła do niego. Zbliżała się do niego wyciągając ku niemu ramiona, to znowu zdawało mu się, że Wanda woła go i wzywa jego pomocy.

Wanda w niebezpieczeństwie?!

Z takiem bolesnem uczuciem lęku budził się nagle nieraz w nocy. Ogarniało go przerażenie, tęsknota wzrastała i tylko dzięki bardzo silnej woli pozostawał w puszczy. Codziennie zbierała go szalona ochota porzucenia badań — tych właśnie badań, dla których został wysłany do Brazylji — i powrócenia do opuszczonej Wandy...

Wybiegał w nocy przed szałas, patrzył na puszczę, z której szły dziwne, niesamowite głosy, poczem uspakajał się trochę, przytomniał i wracał do szałasu.

Ale tam czekały go znowu senne mary, które nie dawały mu spokoju. Myśl, że Wanda napróżno wzywa jego pomocy, że otoczona jest nieznanemi mu niebezpieczeństwami, wżarła się w jego mózg i nie dawała mu spokoju ani dniem ani nocą, stawała się poprostu monomanją, opanowującą całkowicie jego mózg. Próbował zabić tęsknotę pracą, zagłębiał się w puszczę, szedł na poszukiwanie nieznanych roślin, pracował po kilkanaście godzin dziennie, wieczorem padał ze znużenia — lecz uparte myśli wracały, nieubłagane, bezlitosne.

— — — — — — — —

Zwykle wstawał wczesnym rankiem. Ruszali zaraz w drogę, przedzierając się przez las, który, w miarę zagłębiania się stawał się coraz potężniejszy. Potężne timby, guadyakony i cedry, wokoło których oplatały się skręty ljan, wyniosłe pierzaste palmy, storczyki, wijące się kolczaste rośliny i tysiące gatunków krzewów paproci, tworzyły wprost mur nieprzebyty. Trzeba się było poprostu wgryzać w puszczę, wyrąbywać przejścia w ścianach lasu, przyczem murzyni szli przodem z wielkiemi nożami — „machetas“.

Pewnego dnia przy takiej wędrówce wyprawa znalazła się w uroczym zakątku, mającym jakgdyby kształt cienistej altany. Było tam mroczno i aż duszno od aromatycznych woni i jakichś przedziwnie pachnących roślin. Dalszą drogę zatarasował im gęsty wał krzewów. Nad niemi rozpostarły się jakby zielone obłoki ze splątanych dużych, szerokich liści. Dokoła morze szmaragdowe najpiękniejszych i najdelikatniejszych roślin — i cisza tajemnicza...

Murzyni położyli się na miękkiej, oślizgłej trawie, ocierając spocone twarze.

Wtem tuż nad nimi zaszeleściły liście, rozległ się trzask gałęzi, zaskrzeczała przerażona papuga i ozwał się żałosny głos wyjca.

Profesor schylony, zajęty badaniem mięsistej rośliny, nie słyszał tych odgłosów. Murzyni tylko poderwali się z miejsca.

Zręcznym ruchem jeden z czarnych pochwycił profesora i szarpnąwszy go ku sobie, odsunął go od drzewa, przy którem ten się znajdował.

Uczonego zdziwiło zachowanie się murzyna. Spojrzał na niego i dostrzegł w jego oczach obłąkańczy lęk. Murzyn stał z rozwartemi szeroko ustami, jakby na jego wargach zamarł okrzyk grozy. Nie był w stanie wydobyć ze siebie ani słowa, tylko drżącą ręką wskazywał na drzewo. Profesor spojrzał w tę stronę i przeraził się.

Na drzewie zwieszony kołysał się potężny sukuru — król wężów. Jego długie, kilkometrowe ciało ruchem rytmicznym kołysało się w powietrzu.

Jeszcze chwila, a wąż osunie się.

Zdawało się, że niema ratunku.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji są proszeni: „Lutek" — „Lotnik z Pomorza" — „Maron" — „Aloha" — „Incundus agricola" — „Zawisza Czarny" — „Bezinteresowny" — „Wesoły Toruniak" — „Wesoły łobuz z Warszawy" — „Dziewczę z Pomorza" — „Żukowianka" — „Eros".

„MAŁEJ KONWALIJCE" W ODPOWIEDZI...

„Mała Konwalijka." Moja Droga Przyjacióleczko! Długo myślałam o Twoim ostatnim liście. Opisujesz mi w nim swoją placówkę pracy i stosunki na wsi. Znam je doskonale, bo i ja kiedyś mieszkałam na wsi i miałam sposobność zaobserwować życie ludu i wyrobić sobie o nim własne zdanie.

Nie chcę zbijać Twoich wywodów „Konwalijko", bo może są one słuszne, ale chcę Ci tylko zwrócić uwagę, że to, co tkwi w naturze ludzkiej, trudno nieraz wykorzenić i sprostować, na to potrzeba dużo poświęcenia i wytrwałości. Do serc twardych, zgorzkniałych od trudu i ciężkiej pracy, trzeba umieć podchodzić. Metody tego podchodzenia są bardzo różnorodne i nieraz ryzykowne. Tam, gdzie pomaga czasem rygor i dyscyplina, zawodzi łagodność i wyrozumiałość i odwrotnie, gdzie nie skutkuje nacisk, często wiele czyni serce. To ostatnie zwłaszcza robi wiele. Kiedyś czytałam bardzo piękną nowelkę znanej, szwedzkiej powieściopisarki Selmy Lagerlöf. Była w niej opisana rzewna i wzruszająca historja, wysnuta z życia pewnej arystokratki, oznaczającej się szlachetnością serca i człowieka zepsutego do szpiku kości — bandyty, skazanego za zabójstwa na dożywotne więzienie. Nic skazańca w życiu nie wzruszyło i nigdy, nawet maleńka iskierka dobroci, nie postała w jego duszy. I oto pewnego razu do jego ciemnej celi w więzieniu weszła kobieta — dobra, przedziwnie słodka pani. I ona pierwsza przemówiła do niego inaczej, niż wszyscy. Zdumiał się z początku, a potem powiedział, aby wyszła, gdyż postanowił zamordować pierwszego człowieka, który wejdzie do celi. Nie poruszyła się i nie przelękła, tylko powiedziała bardzo prosto, aby właśnie ją zabił. Nie chciała, aby ktoś inny zginął. I wtedy twarde, kamienne serce zbrodniarza poruszyło się. Upadł skruszony do nóg szlachetnej kobiety i zapłakał...

To zaledwie jeden przykład, a takich przykładów jest bardzo wiele. O nich mogą nam powiedzieć osoby, którym przyświecają w życiu hasła miłości samarytańskiej. Ty, „Maleńka Konwalijko", na swojej placówce, możesz dużo zrobić. Niech Ci się tylko nie wydaje, że brak owoców w Twojej pracy, gdyż tak nie jest. Czasem maleńkie ziarnko rzucone z dobrym skutkiem znaczy dużo. A takich ziarnek w Twej pracy jest napewno więcej?

Bądź więc zawsze pełną otuchy i wiary, miej dużo wyrozumienia dla ludzi i bądź dla nich dobrą. Jeden, dwóch zbuntuje się, ale reszta poda Ci rękę. Dobroć to droga do serca drugich — o tem pamiętaj!

Hallo! „Mała Konwalijka" pozdrawia „Konwalję" i „Marutę". „Czarnej Dziewczynce" serdecznie dziękuję za przemiłe pozdrowienia i pocztówkę z Poznania.

DZIĘKUJĘ!

„Gwidon". Dziękuję Panu bardzo za nadesłaną fotografję. Umieściłam ją w albumie.

Podobał mi się ostatni Pański list. Można go określić poetycznie — pieśnią na cześć słońca, wiosny i radości życia. Przeczytałam go z prawdziwą satysfakcją. Po listach, pełnych smutku i żalu, wydał mi się jasnym promykiem.

A teraz odpowiedź na postawione mi pytanie: otóż osoba, o którą pan pyta, nie jest ani siwowłosą staruszką, ani poważną mężatką, lecz bardzo młodą dziewczyną. Nazwisko jej jest Panu również dobrze znane. Wyobrażam sobie, jaką niespodzianką dla Pana będzie ta odpowiedź.

WARTOŚCIOWA KORESPONDENCJA

„Milena". Szczerze współczuję losowi Pani i cieszę się, że zwróciła się Pani do mnie tak bezpośrednio i miło. Ofiaruję Pani wzamian moją przyjaźń. Pragnę, aby dalsze listy Pani pogłębiły nasz świeżo nawiązany kontakt i były zawsze obopólnem zrozumieniem. Życzenie Pani spełniam i oddaję do druku apel:

„Milena" — marzycielka, rzucona przez los na głuchą prowincję szuka miłego korespondenta wśród Czytelników z wyższem wykształceniem, gdyż sama jest „magistrem" i chciałaby znaleźć gorącego przeciwnika w przyszłych polemikach. Najmilej widziani prawnicy i dzienni karze, wysocy bruneci lub szatyni, znający się na polityce, interesujący się beletrystyką, teatrem, podróżami, sportem. Jestem zwolenniczką współżycia z przyrodą, a stale w pracy nad sobą dążę do osiągnięcia jak najwyższego stopnia kultury. Nie cierpię głupiego flirtu, nie maluję się, mimo to wszyscy mnie lubią i obdarzają sympatją. Pracuję społecznie i śledzę uważnie bieg współczesnego życia wszystkich państw. Sądzę, że umiałabym poprowadzić korespondencję ciekawie, gdyż jestem charakterem bardzo indywidualnym.

Chętnie nawiązałabym znajomość z „Etjopką" i z „Waldym". Przesyłam serdeczne dzięki wszystkim młodym poetkom i poetom, którzy pisują miłe wiersze w „Moich Powieściach" —

WYSŁAŁAM

P. E. P. Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia i wiadomość, że list do „Steni" wysłałam.

PRZYZNANIE RACJI

„Eros". Nadal Pan przeprasza mnie i sumitu je się, chociaż nie ma za co. List Pana nie dotknął mnie wcale, zdaje się, że o tem już Panu raz pisałam.

A propos pisania wierszy ma Pan zupełną rację, twierdząc, że nie powinny ich pisać osoby niepowołane. Na tem kończę moją odpowiedź dla Pana i spieszę dać następną komuś innemu. Moc pozdrowień!.

ZACHĘTA

„Karina". Wierszyk Pani jest tak słaby, że nie mogę go zamieścić w „Krainie". Lepiej będzie, gdy go Pani prześle „Kapłance Wschodu" listownie. Mam wrażenie, że to sprawi Jej wielką radość.

Część listu Pani zamieszczam:

„Hallo! Sympatycy „Krainy"! Odezwijcie się się do mnie! „Czarnulko z Grudziądza", „Tęsknoto z Działdowa", „Lazurze" i „Leszku z Zielonej Doliny", Wy w pierwszym rzędzie. „Zabłąkanej Kukułeczce", „Zrozpaczonej Marylce", „Nieszczęśliwej" i „Smutnemu Kaszubie" — ślę miłe pozdrowienia. „Samotnemu Agronomowi" przesyłam współczucie spowodu samotności. „Kapłankę Wschodu" pozdrawiam i całuję."

A teraz jeszcze, na zakończenie, przesyłam Ci, Miła „Karino", pozdrowienia i uściski i zachęcam do dalszej korespondencji ze mną.

TAJEMNICA POZOSTANIE NADAL TAJEMNICĄ

„Ryśka D." Bardzo Kochana Dziewczynko! Miły sen p. Cesi nie sprawdził się. Tajemnica pozostanie więc nadal tajemnicą.

Wiadomości o Walterze ogromnie mnie ucieszyły, gdyż artysta ten jest i moją sympatją filmową.

Za pozdrowienia bardzo dziękuję, a za mimozę — całuję buzię.

CZEKAM

„Izarys". Kuzyn Pani nie mylił się, gdyż istotnie pochodzę z O. Może w następnym liście wymieni mi Pani nazwisko swego Kuzyna, gdyż zdaje mi się, że go znam jeszcze z czasów gimnazjalnych. Zatem czekam i serdecznie Panią pozdrawiam.

ŻAL I ZWĄTPIENIE

„Zapomniana Sylena". Liścik Pani pełen żalu odczytałam ze smutkiem. Zawód, który spotkał Panią, musiał być bolesny, gdyż z każdego zdania listu wyziera ból i zwątpienie. Wstrzymuję się tym razem od słów pociechy, gdyż mogłyby się one Pani wydać banalnemi, natomiast proszę Panią o szczere wypowiedzenie się z swoich zmartwień w następnym liście. Czuje się Pani bardzo opuszczoną, ale to zbyteczne, gdy zechce Pani, znajdzie przyjaciela we mnie i wiele innych życzliwych serc wśród sympatyków.

Apel zamieszczam:

„Marzycielu z pod Gniezna", może napiszesz do mnie, chętnie Ci odpowiem? Pozdrawiam „Miecia 09", „Stęsknionego Jurka z Bydgoszczy", „Nieznanego Chłopczyka z Kujaw", „Jadźkę z Kujaw" i p. Danutę Wyrybkowską.

„LUBIĘ BARDZO CZYTAĆ LISTY"...

„Kaktus". Ciekawe było zapoznanie się Pana z „Mojemi Powieściami" to prawda, ale w ten sposób już wielu Czytelników odkryło nasz tygodnik i odtąd pozostało jego wiernymi czytelnikami.

Miło mi bardzo powitać Pana i zaliczyć do naszego zastępu. Mam wrażenie, że dobrze będzie się Pan czuł w „Krainie" i odnajdzie wśród jej Sympatyków wielu przyjaciół.

W związku z chęcią nawiązania korespondencji, oddaję do przedruku kilka zdań z listu Pana. Życzę szczerze, aby trafiły one do licznych przekonań.

„Jestem ciemnym blondynem o ciemnych oczach. Może która z Sympatyczek lub Sympatyków „Krainy" napisze do mnie? Lubię bardzo czytać listy, wesołe i smutne. Pozdrawiam „Elżunię z Torunia" i „Słodką Psychę".

SERDECZNY APEL

„Leniuszek." Droga Dziewczynko! Żal mi Cię ogromnie — dużo dałabym, aby choroba Twoja minęła szybko i nie wróciła już nigdy. Pragnę urozmaicić trochę Twoje monotonne dni, spędzane w łóżku i w tym celu apeluję do wszystkim Sympatyków, aby przesłali „Leniuszkowi" pogodne listy. Dola „Leniuszka" jest bardzo przykra i zasługująca na pewne względy, gdyż młodziutka ta panienka, uczenica ostatniego kursu Szkoły Przemysłowej, zapadła na reumatyzm. Od kilku miesięcy nie opuszcza już łóżka. Pospieszmy więc zanieść Jej kilka dobrych słów. Okażmy serce tam, gdzie go bardzo potrzeba i gdzie na nie czekają. Może jedyną zapłatą dla nas będzie uśmiech wdzięczności i proste „dziękuję", ale to już będzie bardzo, bardzo wiele znaczyło.

WIERSZE

„Oset." Widocznie list Pana nie doszedł do mych rąk, gdyż w przeciwnym razie dałabym Panu napewno odpowiedź.

Nadesłane wierszyki są bardzo słabe. O honorarjum nie może być mowy. Wierszyk „Lotnik" prześlę „Lotnikowi z Pomorza". Kto wie, czy nie przypadnie Mu do gustu i nie otrzyma Pan w nagrodę ślicznej książki? Życzę szczerze!

OMYŁKA WYOBRAŻEŃ

„Płacząca Brzoza". Wyobrażenia Pani o mnie są bardzo miłe, ale błędne, gdyż nie posiadam ani blond włosów, ani niebieskich oczu. „Circulus vitiosus" Pani wyobrażeń pozostanie więc nadal nierozwiązane.

Kochana Dziewczynko! zakończenie Twego listu jest dla mnie tak pochlebne i serdeczne, że trudno mi wprost znaleźć odpowiednich słów podzięki, ściskam więc Cię tylko na odległość i mocno całuję.

KORESPONDENCJA

„Adis". Prośbie Pana czynię zadość i przyjmuję Go do „Krainy". Oprócz tego zamieszczam charakterystykę Pana: ciemny blondyn, miłośnik sportu, lat 22, wzrost średni, wesołe usposobienie. Pragnie nawiązać interesującą korespondencję.

WIERZĘ...

„Samotna Oleńka.“ List Twój, Kochana Dziewczynko, jest niczem innem, jak tylko niesłusznem oskarżeniem. Mylisz się bardzo, twierdząc, jakobym jednych traktowała oziębłej, a drugich darzyła nadzwyczajną serdecznością. Nie, Sympatyków moich traktuję jednakowo, a jeżeli ktoś otrzyma krótszą i mniej serdeczną odpowiedź, to nie dowód lekceważenia. Zbyt powierzchownie popatrzyłaś na całą sprawę i dlatego opinja Twoja wypadła krzywdząco — tak nie można! Ograniczam się tylko do tych paru słów odpowiedzi i wierzę, że Twoje, „Oleńko“, ustosunkowanie się do mnie ulegnie zmianie. Co do zwłok w odpowiedziach, nadmienię tylko to, że do redakcji napływają tygodniowo setki listów, więc trudno mi dawać szybkie odpowiedzi.

Apel Pani podaję:

„Hallo „Samotny Julu“! odwzajemniam Twe pozdrowienia i proszę abyś skreślił do mnie choć krótki liścik, gdyż pragnęłabym z Tobą korespondować. Czy mi odpowiesz? Czekam.

A ty, Kochana „Maryno“, dlaczego nie podałaś mi swego adresu, przesyłając życzenia noworoczne (za które ślicznie Tobie dziękuję). Czy nie zechciałabyś ze mną nawiązać korespondencji? Odpowiedz choć w „Krainie“.

BARDZO CHĘTNIE

„Odessanka.“ Sprawę zmiany adresu załatwiła administracja. Bardzo chętnie apeluję w imieniu Pani do Sympatyków, aby przesłali Pani miłe listy. Równocześnie komunikuję, że urodziła się Pani w Odessie. To zapewnie niejednego zaabsorbuje i zachęci do nawiązania z Panią kontaktu?

KORESPONDENCJA

„Zajęte Serduszko“. Rymowany liścik Pani sprawił na mnie bardzo miłe wrażenie. Nie zamieszczam go ze względu na brak miejsca, ale podaje do wiadomości wszystkim Czytelnikom, że chętnie poprowadzi Pani korespondencję skimś smutnym i samotnym. Myślę, że chętnych znajdzie się dużo? Podaję również charakterystykę Pani: wysoka, ciemna blondynka o niebieskich rozmarzonych oczach, kochająca przyrodę i sztuki piękne. Potrafi malować i pięknie grać na gitarze.

ODPOWIEDŹ JUŻ DAŁAM

„Bursztynowe Serduszko“. Kochana Dziewczynko! Na pierwszy list już dałam Ci odpowiedź — zapewne ją przeczytałaś? Serdecznie pozdrawiam i proszę o dalszą pomięć.

ZAMIAST DŁUŻSZEJ ODPOWIEDZI

„Lawrence“. Jeżeli Pan rezygnuje z odpowiedzi na list napewno zechce przyjąć ode mnie pozdrowienia i wyrazy sympatji, prawda?

APEL DO STARSZYCH CZYTELNIKÓW

„Emerytka“. Ponieważ rozporządzam dużą ilością wolnego czasu przeto chętnie nawiążę korespondencję z starszemi Czytelnikami. Cel korespondencji: wesoła i miła rozrywka. kto ma zamiar, niech skreśli liścik do mnie, a otrzyma napewno odpowiedź“.

Życzenie pani spełniłam. Za bardzo miły wierszyk — dziękuję Pani serdecznie. Co do powieści, postaramy się znowu zamieścić taką, aby odpowiadała gustowi Pani.

INTERESUJĄCA KORESPONDENCJA

„Adam z Raju“. Przychylam się jak najchętniej do życzenia Pana.

„Zależy mi bardzo na interesującej wymienie myśli“. pisze Pan w swoim liście do mnie. Myślę, że nie trudno będzie Panu zrealizować swoje pragnienie. Pseudonim Pana jest zbyt prowokujący, by nie miał wzbudzić ciekawości wśród pięknych cór Ewy. Nie „reklamuję“ więc zbytnio osoby Pana, tylko przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia: „Marlenie II.“ „Dziewczęciu z Kujaw“, „Czerwonemu Koralowi“, „Smutnej Ninie“, „Zrozpaczonej Maryli“ i „Zbłąkanei Kukułeczce“. Odemnie, proszę, niech Pan przyjmie pozdrowienia i wyrazy sympatji.

W POSZUKIWANIU KRÓLEWNY

„Pustelnik z zaklętego ogrodu“ pisze: Pragnąłbym znaleźć jakąś bratnią duszę, którąby dzieliła ze mną smutki i radości. W tym celu wstępuję do „Krainy“ i przedstawiam się: jestem podobno przystojnym szatynem, szczupłym, lubiącym rozrywki, a przedewszystkiem... piękne panie. Przepadam za konną jazdą. Mieszkam na wsi (proszę mi darować porównanie!) jak królewicz w zamkniętym zamku, otoczonym wodą i ogrodem. Brak mi tylko królewny — czy znajdę ją w „Krainie“?

LISTY WYSŁAŁAM

„Gladjola“. Dziękuję bardzo za serdeczne uściski i przesyłam ich Pani również moc.

KILKA SŁÓW UWAGI...

„Well“. Sprawa, którą Pan porusza w ostatnim liście, była już nieraz rozpatrywana na łamach „Krainy“. Dzisiaj wracam do niej raz jeszcze:

„Miałem możność przekona się, że takiej jednej czy drugiej Czytelniczce, zależy jedynie na poławianiu listów, które pozostawia potem bez odpowiedzi“ — pisze „Well“.

Smutne to, lecz prawdziwe, gdyż skargi podobne dochodzą mnie częściej. Drogie Sympatyczki! jestem zmuszona dać Wam maleńką nauczkę, abyście w przyszłości były zawsze w wszelkich poczynaniach „correct“. Z własnego doświadczenia wiecie, jak to przykro i nieprzyjemnie, gdy ktoś pominie serdeczny list milczeniem, więc oszczędzajcie innym tego zawodu. Kierujcie się zawsze grzecznością i wypełniajcie Wasze przyrzeczenia, gdyż wówczas nikt Wam nie zarzuci niesłowności i nikt nie będzie miał do Was żalu. Postarajcie się o to, aby słowa moje nie były, jak to się mówi pospolicie, „rzuceniem“ na wiatr.“

BRAK TOWARZYSTWA

„Inka R“. Dziękuję Pani bardzo za te ogromną ilość pozdrowień. Skarży się Pani na brak odpowiedniego towarzystwa i prosi o przyjęcie do „Krainy“... Pierwszemu zaradzą jakoś chętni Sympatycy, drugie zaś wypełniam z całą przyjemnością ja. Pragnęłabym bardzo, aby Pani należąc do naszej „Rodzinki“, znalazła choć trochę zadowolenia i urozmaicenia w swem życiu. Czy tak się stanie, doniesie mi Pani, Prawda?

Jak sądzę z listu zainteresowała się Pani „Jaśkiem-Pokutnikiem“ i „Samotnym Agronomem“, apeluje więc do tych Panów osobno, aby zechcieli przesłać sie mi Pani, prawda?

KTO ODPOWIE?

„Fala“. Niżej zamieszczam bardzo króciutki i miły liścik. Może ktoś chętny odpowie na niego?:

„Jestem sobie taką małą wszędzie lubianą osóbką o filuternych oczach i uśmiechniętej twarzy. Niech to narazie będzie wszystkiem o mnie.

Załączam miłe pozdrowienia dla „Samotnego Tarzana“ — „Lotosu“ — „Te-Em“ i „Lwa“. Może który z tych Panów do mnie napisze?“

POZDROWIENIA

„Lilka“. Ślicznie dziękuję Pani za bardzo miły i pogodny liścik. Pisze Pani jeszcze w nim o zimie i o śniegu. Dzisiaj słowa Pani są tylko reminiscencją, gdyż mówimy już o wiośnie i wyglądamy pierwszych liści na drzewie. Co do zadowolenia, to zdaje się, że będziemy go mieli więcej wiosną, niż zimą, która nam w tym roku bardzo skąpiła śniegu i swoich przyjemności.

Kończę już moją odpowiedź i serdecznie Panią pozdrawiam. Zakończenie listu Pani zamieszczam:

„Kochanej „Leśnej Rusałce“ przesyłam ucałowania. Tak samo „Uśmiechowi Lata“ i „Duśce.“ „Puerowi“ ściskam dłoń, „Gwidonowi“ i „Lazurowi“ odwzajemniam pozdrowienia. Pozdrawiam także „Panterę II“, zaś „Smutnemu Esperantyście“ dziękuję za przesłany stenogram. Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom zasyłam serdeczne pozdrowienia.“

CZEKAM NA LIST OBSZERNIEJSZY

„Blade Światełko“. Z wysyłką „Moich Powieści“ zaszło tylko proste nieporozumienie. Obecnie jest już wszystko w porządku i p. M. będzie otrzymywał tygodnik znowu punktualnie.

A teraz kilka słów dla Pani: krótkie i bardzo ograniczone były wiadomości Pani po tylomiesięcznej przerwie w naszej korespondencji, to też moją odpowiedzią na list Pani będzie prośba o obszerniejsze wypowiedzenie się. Czekam więc i przesyłam wiele miłych pozdrowień.

Teczka Wujka Janusza

O KONKURSIE POMYŚLIMY

P. E. W. z B. Wierszyki Pana są bardzo melodyjne. Jedno, co mi się w nich niepodoba, to brak oryginalniejszych myśli. Jeżeli odbiegnie Pan od szablonu, wiersze Pana będą zupełnie dobre.

O projektowanym przez Pana konkursie — pomyślimy. Prawdopodobnie jednak nie uda nam się skorzystać z podanych przez Pana pomysłów, gdyż to przysporzyłoby nam zbyt wiele trudności, a oprócz tego podobne konkursy były już zamieszczane w innych czasopismach. Nie chcielibyśmy się więc powtarzać. Przesyłam Panu szczery uścisk dłoni i proszę o dalsze zasilanie mej „Teczki“.

WIOSNA SIĘ BUDZI...

Przeminął okres mroźnych dni,
Ludność na cichej, polskiej wsi
Już się nie nudzi,
Brzmią pieśni wśród łąk, pól i chat,
Już czas przedwiośnia zwolna zbladł —

Wiosna się budzi...
Tu, u nas, w mieście dymem czuć,
Gazem fabrycznym można truć
Ptactwo i ludzi,
Powietrza, kwiatów, woni — brak,
Gdy tam, na wioskach cudnie tak —
Wiosna się budzi....

A górnik, mroków szary cień,
Pod ziemią spędza noc i dzień,
Męczy się, trudzi...
W pierś wchłania chłód, węgielny kurz,
Nie wiedząc, że na świecie już —
Wiosna się budzi...

Mieczysław Grzegorski.
Sosnowiec, w kwietniu 1936 r.

ŻYCZENIE

Na mem czole śnieżne dłonie.
Ty, o wiosno złóż,
Mów, co szepcą jezior tonie,
Co śnią światła zórz...
Co najsłodszą tchnie pieszczotą,
Jak marzenia pieśń,
Co najskrytszą drży tęsknotą —
Do mej duszy nieś....
Niech się szczęście znów rozdzwoni
Czarem wiosny tchnie,
Jak przed laty przy jabłoni,
W niespełnionym śnie........

E. W. Wesołowski.

ZAMIESZCZĘ PO POPRAWCE

„Czarna Perła“. Przypuszczenia Pani są błędne.

Wiersze: „Cisza wieczorna“ i „Lotnik“ przeznaczam do druku, „Wierz“ — odpada; słaby. Może go Pani spróbuje przerobić, gdyż tylko końcowa zwrotka jest trochę przesadna i nie posiada rytmu. Po poprawce chętnie zamieszczę. Łączę miłe pozdrowienia.

TRZY WIERSZE PRZEZNACZAM DO DRUKU

P. M. G. z Sosnowca. Z nadesłanych wierszy wybrałem do druku: „Wiosna się budzi...“ „Dla ciebie, Pani“ i „Matka“. „Lotnik“ — słaby, do druku nie pójdzie. Może wiersz ten prześle pan listownie „Lotnikowi z Pomorza“? Serdecznie pozdrawiam.

WIERSZYKI — MIŁE

„Sarenka“. Tym razem nie będę zbyt „srogi w ocenie wierszyków, gdyż zwrotki Pani są bardzo miłe. Nie wytrzymały mojej krytyki. Czy „Sarenka“ zostanie tem ułaskawiona i częściej „zakradnie“ się do mojej „Teczki“.

POCO?

Dla p. „Akela“.

Poco się martwisz, gdy sny Twe nietknięte
Głowę do góry!
Ożywiaj rosą białe kiście zmięte...
Rozegnaj chmury!

Dlaczego ciągle widzisz tylko kręte,
I czarne mury...
W zygzakach oćmy, koślawe, zgięte,
Te mroków córy?

Toć filozofja mówi do nas: „Lente...
Festinaturi!“
I pokierują wówczas szczęścia okrętem
Anielskie chóry.

Precz szare smutki, bo szczęście nietknięte,
Rozegnać chmury!
Ożywiaj łzą swą... białe kiście zmięte,
Głowę do góry!

„Sarenka“.

Raj kobiet



Schowek na brudną bieliznę

W żadnym domu, racjonalnie prowadzonym nie powinno zabraknąć pomieszczeń na brudną bieliznę. Obok — podajemy model bardzo praktycznego, a przytem ładnego schowka. Robimy go z dość grubej tektury i obciągamy barwnym kretonem. Wysokość poszczególnych prostokątów wynosi 45 cm, szerokość 25 cm. Dno jest kwadratem, którego każdy bok wynosi 25 cm. Wieko ma rozmiary 25 x31 cm. Po obciągnięciu całego schowka kretonem, kładziemy na wierzch chustę (53 x 53) cm z falbanką 7 cm szeroką. W środku tej chusty przyszywamy dwie tekturki, aby nadawały sztywność wieku, a z wierzchu przyszywamy pomponik, który będzie służył za chwyt. Schowek ten powinien znaleźć miejsce w sypialni ewent. w łazience, których „mebel" ten — tak łatwy do wykonania — a bardzo estetyczny — napewno nie zeszpeci.

Praktyczny sposób utrzymywania porządku w szufladach

Jakże często denerwujemy się niepotrzebnie, starając się znaleść jakiś drobiazg tualetowy w dużej szufladzie szafy, czy też komody. W pospiechu przerzucamy i przewracamy wszystko do góry nogami i tam, gdzie przed chwilą istniał idealny porządek, zapanuje najokropniejszy chaos. A nawet szuflady z bielizną ulegają nieraz temu losowi, bo choćbyśmy w najbardziej wzorowym porządku ułożyli każdy rodzaj bielizny obok siebie, to i tak, śpiesząc się, niejednokrotnie nie można uniknąć zamieszania.

Doskonałym sposobem zaradzenia temu są kolorowe przegródki, które prócz tego, że są nadzwyczaj praktyczne, wyglądają też bardzo ładnie.

W tym celu sporządzamy większą ilość dłuższych i krótszych przegródek, które tworzą odpowiednie przedziały na chusteczki, rękawiczki, sznury sztucznych pereł lub inne akcesorja kobiecego stroju. Dwie lub trzy wyższe przegródki służą do przedzielenia stosów bielizny.

Przegródki ze zwykłej tektury i pokrywamy je papierem tapetowym.

Przegródki do płytkiej szuflady robi się w następujący sposób: na każdą długą przegródkę odcinamy kawał tektury 7 i pół cm na 35 cm (zależnie od szerokości danej szuflady) i dwa kawałki 10 cm na 25 cm. Na tych dwóch ostatnich szerszych kawałkach tektury nakreślamy wyraźnie ostrym ołówkiem prostą linję w odległości 3 i pół cm od dłuższego brzegu. Teraz zginamy dokładnie cały ten brzeg wzdłuż nakreślonej linji pod ostrym kątem na obu kartonach.

Oba te zgięte kawałki tektury zlepiamy ze sobą szerszemi płaszczyznami, w ten sposób, że razem tworzą odwróconą literę Π. Aby równo i dokładnie się skleiły, należy je położyć na brzegu stołu i przycisnąć jakimś ciężarem.

Skoro już wyschły zupełnie, smarujemy klejem jedną stronę pozostałego węższego kawałka tekfury i przylepiamy do niego dolną część owej odwróconej litery Π. I znowu trzeba to wszystko przycisnąć, aby dobrze wyschło.

Pasy zwykłej, ciemnej taśmy zginamy teraz wpół i lamujemy niemi wszystkie boki zlepionej z tektury przegródki, z wyjątkiem jej dolnych części, które służą, jako podstawa.

Taśma powinna być około 1 i pół cm dłuższa, niż boki, aby starczyło na zgięcia i zakończenia.

Teraz odcinamy dwie części papieru tapetowego, o szerokości 34 cm na 14 cm, i smarujemy klejem jego odwrotną stronę. Pokrywamy tym papierem obie szersze części kartonowej przegródki, tak, aby tylko wąziutki pasek ciemnej taśmy wystawał u góry i po bokach. Dolną część kartonu pokrywamy również kawałkiem tapetowego papieru o szerokości 7 i pół cm na 34 cm.

Ażeby zrobić małe, poprzeczne przegródki, wycinamy dwa kawałki tektury o szerokości 12 i pół cm na 10 cm i jeden kawałek 12 i pół cm na 7 i pół cm. Potem dwa kawałki papieru tapetowego 11 i pół cm na 12 i pół cm i jeden kawałek tapety 11 i pół cm. na 7 i pół cm. Te mniejsze przegródki robimy tak samo, jak wyżej opisane.

Na dwie przegródki do bielizny należy odciąć dwa kawałki tektury 22 i pół cm na 35 (zależnie od szerokości szuflady) i jeden kawałek 17 i pół cm na 35 cm. I znowu zgiąć trzeba oba szersze kawałki w odległości 8 i pół cm od brzegu, zlepić większemi częściami do siebie w kształt odwróconej litery Π i pokryć dwoma kawałkami papieru tapetowego 33 i pół cm na 28 i jednym kawałkiem 32 cm na 15 cm.

Ażeby pokryć spód szuflady wycinamy karton i o 1 i pół cm mniejszy z każdej strony od powierzchni spodu. Odcinamy papier tapetowy o 5 cm szerszy, niż karton i przylepiamy go równo, zginając na wszystkich bokach i kątach. Boki szuflady możemy również obić takim papierem.

Należy jednak uważać, aby papier był w takim gatunku, żeby nie smolił przedmiotów, które go dotykają, co często zdarza się w papierach obiciowych. Aby tego uniknąć można również po wykończeniu przegródki i spód szuflady pokryć cienką warstwą szelaku. Są one wówczas bardziej trwałe i nie brudzą się tak szybko.

H. L.

CZY WIECIE, ŻE...

— Przelatujący wiatr wprawia cienki, napięty drut telefoniczny w drganie, któremu towarzyszy jednostajne brzęczenie. Sprawiają to tworzące się na drucie małe, ciągle zmienne wiry powietrzne, które drganiem swym nikomu nie przeszkadzając, ścierają jednak i niszczą miejsca spojeń. Wynaleziono obecnie zagranicą aparaty, zabezpieczające druty od zużywającego je drgania. Tak więc, owe brzęczenie, to nie głos nadawanej depeszy, lecz dźwięk wirujących cząstek powietrza.

—o—

— Niezmiernie pouczające i bardzo ciekawe są na wszechświatowej wystawie w Chicago naturalnej wielkości modele zwierząt przedpotopowych, jak mamut, pterodaktyl, dynozaurus, oraz zwierząt z czasów obecnych. Poruszane ukrytemi mechanizmami, wydające głosy, do złudzenia naśladują zwierzęta żywe.

—o—

— Z pomocą ukrytych mechanizmów, oraz niezmiernie czułych na każde drgnienie aparatów, urządzono również na wystawie w Chicago sensacyjny „Dom Magji". Najzwyklejszy śmiertelnik zamienia się w nim na potężnego czarownika, na którego głos otwierają się drzwi, gasną światła i rozlegają się dźwięki muzyki.

—o—

Wyprawa etnologiczna, wysłana przez finansistę amerykańskiego Edwarda L. Doheny, dla zbadania doliny Supai w Arizonie, znalazła na ścianie świątyni rysunek dinozaura, jaszczura z epoki niezmiernie odległej. Dowodzi to, że wtenczas już żyli tam ludzie, i że prawdopodobnie Arizona jest najdawniej zamieszkaną częścią Ameryki.

—o—

Uczony angielski, członek egipskiego ministerjum rolnictwa Williams, stwierdził, że ojczyzną powszechnie u nas znanych bronzowych motyli z czerwonemi plamami na skrzydłach — są południowe granice Sahary. Wczesną wiosną zaczyna się ich wędrówka na północ i dzieci albo wnuki motyli, które z Sahary wyruszyły, przybywają do nas, do Francji, Anglji, a nawet Irlandji, robiąc przeszło 6000 kilometrów drogi. Powracają na południe znowu ich dalsze, nowe pokolenia.

—o—

W Kopenhadze urządzono niedawno koncert na instrumentach muzycznych przedhistorycznych, na tak zwanych lurach, liczących 3.000 lat. Koncert ten, słyszany przez radjo w całej Europie, nie wzbudził zachwytu.

Ze świata

Sławni olbrzymi umierają na gruźlicę

W języku zawodowców ten tylko może nazwać się olbrzymem, — kto mierzy conajmniej 2.20 m.

Z obecnie żyjących największym olbrzymem jest zapewne Arab Ghazi, który stanowi równocześnie zagadkę naukową. Ghazi do roku dwudziestego miał wzrost zupełnie normalny, bo nie więcej nad 1.70 m. Był on pomocnikiem malarskim i nie zdradzał żadnych skłonności anormalnych. Razu pewnego uległ wypadkowi podczas pracy, spadając z rusztowania na ziemię. Zdawało się, że nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń. Po pewnym czasie jednakże zaczął nagle rosnąć i osiągnął już dzisiaj 2.80 m. A rośnie wciąż jeszcze. Równocześnie zaś zaznaczył się bardzo silny zanik sił, tak, iż Ghazi leży bezwładny w szpitalu w Aleksandrji, jako niezbadana zagadka i przedmiot studjów lekarskich.

Drugim obecnym olbrzymem doby obecnej jest Finlandczyk Viano Mollerino, mierzący równo dwa i pół metra. W przeciwieństwie do większości olbrzymów Finlandczyk jest zupełnie zdrowy, przedewszystkiem zaś nie pojawiła się u niego grożąca wszystkim olbrzymom gruźlica kości. Mollerino służył także w wojsku, a ponieważ odznacza się niezwykłą siłą, pragnie poświęcić się zawodowi bokserskiemu.

Potężnemi rozmiarami ciała poszczycić się mogli zmarli kilka lat temu Holenderczyk William van Droysen i Irlandczyk Patrick O'Brien. Każdy z nich mierzył po 2.68. Występowali oni obaj w Ameryce i zmarli we wczesnym wieku na gruźlicę kości.

Bardzo popularnym był olbrzym Machnow, Rosjanin z pochodzenia, który wprawdzie mierzył tylko

2.47 m., ale zato wszędzie, gdzie się pojawił, stawał się sprawcą jakiegoś zajścia lub skandalu. W Paryżu, gdzie Machnow zerwał umowę, manażer jego kazał go osadzić w areszcie za oszustwo. Wyrok sądowy jednakże nie został wykonany, ponieważ cele więzień paryskich były za małe dla tego niesfornego Goliata. I on stał się pastwą gruźlicy, nie dożywszy lat 30.

Płeć słaba poszczycić się może także okazami anormalnie wielkiemi. W szpitalu w Rumunji leży dziewczyna wiejska, nazwiskiem Feketa, która mimo 28 lat wciąż jeszcze rośnie, chociaż już osiągnęła 2.80 m. Dziewczyna ta cieszy się podobno dobrem zdrowiem, i poszła do szpitala po to tylko, by poddać się operacji, którąby położyła kres dalszemu rośnięciu. Dotąd wprawdzie o podobnych operacjach nic nie wiadomo.

Olbrzymim wzrostem 2.65 m. poszczycić się mogła także Niemka Maria Weddo, która już w 15 roku życia osiągnęła wzrost rokordowy. W 19 roku życia zmarła i ona na gruźlicę. Nie mogła korzystać z licznych ofert małżeńskich, jakie jej bezustannie robiono.

Recepta długiego życia

W Saint Louis, w Ameryce, zmarła w ostatnim czasie dr. Marja Charlotte Degoliere-Davenport, która zasłynęła jako działaczka w dziedzinie tężyzny ciała. Mając lat 15, pani Davenport poślubiła pewnego księcia rosyjskiego. Po jego śmierci, zawarła ponowne małżeństwo i to z Francuzem wice-hrabią Degoliere, z którym miała 11 dzieci. Kiedy i ten umarł, energiczna Amerykanka rozpoczęła studja lekarskie na uniwersytecie w Heidelberdze. Mając lat 68, zawarła po raz trzeci związek małżeński z Amerykaninem Williamem Davenportem. Odtąd poświęciła się ona wychowaniu fizycznemu i higienie i wygłaszała w licznych miastach Ameryki wykłady na ten temat.

Kiedy już była w bardzo poważnym wieku, oświadczyła dziennikarzom: — Nie mam czasu umierać. Długowieczność jest rzeczą całkiem naturalną, i mogę panom zdradzić moją receptę: Należyta porcja dobrego humoru, jako najważniejsze pożywienie szpinak, a jako napój zsiadłe mleko, wiele ruchu fizycznego, szczera wiara w Boga,, żadna irytacja i wreszcie żadna obawa przed miłością. Dla kobiet nowoczesnych, usiłujących przedłużyć swoje życie zapomocą kosmetyków i medykamentów, nie miała serca.

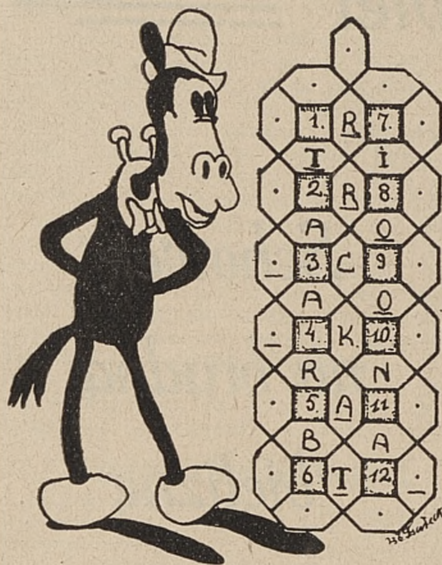
Coraz mniej jasnowłosych ludzi o niebieskich oczach

Badania znanego londyńskiego okulisty potwierdziły oddawna głoszoną tezę, że za 50 lat oczy niebieskie będą rzadkością. Do tych samych wyników doszedł okulista holenderski dr. G. P. Fretz z Rotterdamu. Zdaniem ich przeważać będą piwne, szare i zielone oczy lub mieszanina tych kolorów. Tak samo wyparte zostaną jasne włosy przez odcienie ciemniejsze. Zmiany te spowodowane zostaną przez stosunki międzynarodowe i wyrównanie różnic rasowych i klasowych. Anglik dzisiejszy przestał być znanym od wieków typem rosłego blondyna o niebieskich oczach· jest on już tylko średniego wzrostu, krępy, a włosy jego są o ton ciemniejsze. Oczy jego są piwne lub ciemnopiwne. Przyczyniły się do tego częste małżeństwa Anglików z przybywającymi do Anglji obcokrajowcami. Statystyka zdołała stwierdzić, że w małżeństwie ludzi jasno- i ciemnookich dzieci przeważnie mają oczy ciemne. Wiemy, dalej, że kolor oczu zależny jest od pigmentu (barwnika ciała ludzkiego), nie wiemy natomiast, skąd się ten barwnik bierze. Badania wykazały dalej, że gorąco powoduje wzrost ilości pigmentu i że tenże działa poniekąd jako środek ochronny przeciw słońcu. Ludzie o jasnych oczach, którzy przez długi czas żyją w okolicach tropikalnych, wracają z ciemnemi oczami. Rasy północne, udające się jasnookie i jasnowłose na wojnę z rasami południowemi, przybierają stopniowo ciemniejsze kolory włosów i ócz w miarę posuwania się ku równikowi. Anglicy, przybywający więcej niż 20 lat w Indjach, degenerują i dostosowują się do warunków klimatycznych także w kolorze swych ócz. Dzieci ich przybierają ciemniejszą cerę i staną się metysami, mimo, że pochodzą od rodziców białych. Kolor ciemny jest niczem innem, jak reakcją na gorące promienie słoneczne, produkujące coraz więcej pigmentu, ażeby uodpornić ciało przeciwko gorącu. Oczy fiołkowe stają się coraz rzadsze. Jedynie u małych dzieci zachodzą jeszcze często opiewane przez poetów oczy fiołkowe, które jednakże powoli wypierane są przez ciemniejsze odcienie. To samo odnosi się do jasnowłosych. I tutaj okazuje się pigment ciemniejszy silniejszym i wypiera powoli jasny kolor włosów. Uczeni okuliści przewidują, że za jakie 100 lat nie będzie już wcale ludzi o jasnych oczach i blond włosach.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF WIROWY

Za piękne wiersze poświęcam to zadanie Tej, co w logogryfie. *F. Gałecki.*



W pola zamiast kropek wstawić litery tak, aby wkoło każdej cyfry powstał czteroliterowy wyraz. Po prawidłowem wstawieniu liter, odczytamy w obwodzie imię i nazwisko znanej współpracowniczki „Moich Powieści". Podkreślenie oznacza początek wyrażeń. Pierwsza litera, górna, jest pomocniczą do odgadnięcia.

ROZSYPANKA

ył. „Ka — zet".

Wa — now — czę — nicz — lu — ka — la — mil — no — wi — wo — war — san — o — cho — sto — wo — myśl — do — wo — e — o — ce — strów — no — i — blin — sza — to — to — wa — ja — drów — a — lek.

Z powyższych sylab ułożyć dziewięć polskich miast, a następnie poprzestawiać je tak, aby pierwsze litery nazw czytane pionowo dały rozwiązanie.

(Ponieważ w ostatnim numerze przez omyłkę nie podaliśmy do powyższej rozsypanki objaśnień, podajemy ją dzisiaj powtórnie.)

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 24 kwietnia b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 14 „Moich Powieści" Logogryf: 1. Powój 2. Halinka 3. Flora 4. Halszka 5. Słoneczko 6. Hania 7. Czarnulka 8. Perełka 9. Ryśka 10. Kresowianka 11. Pupilek 12. Gazella 13. Bohaterka 14. Ilona 15. Ika 16. Stokrotka 17. Rusałka 18. Andziulka 19. Wenus 20. Maryśka 21. Wisia 22. Wrzos 23. Pieszczotka 24. Pszczółka 25. Minerwa 26. 27. Tangolita 28. Zamyślona 29. Wiochna 30. Alina. Całość: Wiosenne Święto „Krainy Szczerości.

Szarada: Kotara.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Anna Dorożyńska — Chrośna, Lucyna Pankówna — Główno, „Czarny Olek", Wacław Bultrowicz — Gniezno, Djonizy Janicki — Gniezno, Irena Jankowska — Chojnice, K. Bittnerówna — Poznań, Stefan Śledzikowski — Gdynia, „Mika", „Eros", Elżbieta Kurpierzówna — Mikołów, Józef Antczak — Łódź, Aureljusz Bernacki — Nieszawa, Aleksander Połoniewicz — Kraków.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Irenie Jankowskiej z Chojnic i Aleksandrowi Połoniewiczowi z Krakowa.

(Komu przyznał nagrodę Autor logogryfu, podamy w następnym numerze).

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 19 kwietnia 1936 r.

8.30 Audycja poranna 9.30 Transmisja nabożeństwa 11.00 „Na polskim transatlantyku" — feljeton J. Podoskiego 11.15 Transmisja uroczystości odsłonięcia pomnika Jana Kilińskiego 12.03 Poranek muzyczny z sali teatru Roman W przerwie „O groch przy drodze" Dygasińskiego — recytuje Tad. Bocheński 14.15 Dalszy ciąg transmisji z odsłonięcia pomnika Jana Kilińskiego 14.45 Chwilka pytań 15.00 Przegląd rynków produktów rolnych 15.15 Muzyka 15.30 „Świeczka zgasła" — komedja w Teatrze Wyobraźni 16.00 Bieg naprzełaj o nagrodę dziesięciolecia P. R. 16.45 Wielki koncert życzeń 18.45 Pan Kotek był chory — słuchowisko z warjacami ze wszystkich rozgłośni Polskiego Radja 20.00 Pierwszy koncert skrzypcowy Szymanowskiego 20.30 Co czytać? 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 20.58 Co myślą o radjo? 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni 22.15 Koncert reprezentacyjny z Torunia.

Poniedziałek, dnia 20 kwietnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 O pokazach i spędach owiec — pogadanka 12.25 Orkiestra Tad. Seredyńskiego 15.30 Muzyka polska 16.00 Historja dziecięcej skrzynki radjowej 16.15 Utwory kompozytorów polskich w wyk. Lucyny Robowskiej (fot.) 16.45 „Zgadnij kto mówi?" — aud. zbiorowa ze wszystkich rozgłośni 17.05 Koncert reprez. rozgłośni wileńskiej 18.35 „Płyta jubilatem" — reportaż ze Lwowa 19.45 Wiadomości sportowe 19.45 Moje wrażenia przed mikrofonem — dr. T. Boy-Żeleński 19.59 Co mówią o radjo? 20.00 „Casanova" — opera komiczna w 3 aktach Ludomira Różyckiego W przerwie I-szej dziennik wieczorny oraz wywiad z chałupnikiem szewcem, w przerwie II-giej skecz: „Przyjdź pan do nas na radjo" 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 21 kwietnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.30 Koncert południowy orkiestry P. R. 15.30 Piosenki ludowe i dworskie 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Utwory polskie w wyk. ork. Kameralnej A. Hermana 16.45 Koncert w wyk. orkiestry wojskowej 17.00 Skarby Polski — „Przemysł hutniczy" — odczyt inż. Ignaczewskiego 17.15 Koncert reprezentacyjny Rozgł. Poznańskiej 18.50 Skrzynka rolnicza 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Wywiad 19.35 Audycja żołnierska 20.00 „Rola społeczna i kulturalna Polskiego Radja" — odczyt b. premjera J. Jędrzejewicza 20.15 Dziennik wieczorny 20.25 Koncert Europejski z Paryża 21.30 Zagadki czterowierszowe w oprac. Teodora Bujnickiego 21.45 Koncert małej orkiestry P. R. 22.35 Wiadomości sportowe 22.45 „O polskich podróżnikach i badaczach podbiegunowych" 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 22 kwietnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Radjo w świetlicy wiejskiej, fabrycznej i żołnierskiej" 12.35 „Tysiąc taktów muzyki" — zespół Stefana Rachonia 15.30 Koncert orkiestry 57 p. p. 16.00 „Historja o drewnianym żołnierzu" — słuch. w wyk. ociemniałych dzieci 16.25 Zagadka muzyczna 17.20 Koncert reprezentacyjny Rozgł. Warszawskiej 19.20 Skrzynka ogólna 20.00 Wiadomości sportowe 20.05 Pogadanka aktualna 20.14 Co mówią o radjo? 20.15 Szopka radjowa Tadeusza Strzetelskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Wywiad z Tadeuszem Bocheńskim 21.00 33-cia audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.14 Miniatury poetyckie 21.55 Słuchowisko techniczne 22.15 To są wspomnienia.

Czwartek, dnia 23 kwietnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek szkolny 13.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 15.30 Muzyka lekka 16.00 „Wciąż bez wąsów" — audycja dla dzieci 16.15 Sonata G-Dur Henryka Melcera 16.45 Dowcipy radjowe — red. Jan Piotrowski 17.00 Koncert reprezentacyjny Rozgłośni Krakowskiej 18.30 Sąd nad sportem — zbiorowa aud. ze wszystkich rozgłośni P. R. 19.43 Wywiad z uczestnikami uprowadzenia więźniów politycznych 20.00 Koncert symf. Orkiestry browadeastingu angielskiego Transmisja z Wiednia 20.50 Dziennik wieczorny 20.59 Co myślą o radjo? 21.25 „Wakacje w Nohant" — słuchowisko 21.35 Nasze pieśni 21.55 Wywiad 22.00 Godzina radjosłuchacza 23.00 Wiadomości sportowe 23.10 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 24 kwietnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.55 Audycja dla chorych 15.30 Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego 16.00 Dawne dzieje — opow. dla dzieci 16.15 Nasz radjosłuchacz 16.30 Koncert reprezentacyjny Rozgł. Lwowskiej 18.30 „Skarby Polski" — „Przemysł metalurgiczny" 19.10 Wiadomości sportowe 19.20 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami 19.30 Wielki koncert polskich orkiestr symfonicznych 21.45 Dziennik wieczorny 21.55 Wywiad 22.00 Co mówią o radjo? 22.01 Jak powstaje słuchowisko — groteska 22.20 Skrzynka techniczna 22.35 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 25 kwietnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Dzień lasu" — pogadanka 12.25 Koncert w wykonaniu zespołu salonowego 14.30 „O Jaśku co się z Rokitą założył" — słuchowisko dla dzieci 15.00 Koncert w wykonaniu orkiestry 1 p. p. Leg. 15.30 Muzyka lekka 16.15 Anegdoty o speakerach 16.30 Transmisja z Zakładu Higjeny Mowy 16.45 Koncert reprezentacyjny Rozgłośni Katowickiej 17.45 Wrażenia słuchacza radja 17.55 Liga Radjofonizacji kraju staje do pracy 18.00 Przegląd wydawnictw 18.40 Wiadomości sportowe 18.50 Pogadanka aktualna 18.59 Co mówią o radjo 19.00 „Kwiat paproci" — operetka 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.30 Wywiad 21.35 25-lecie Polskiego Radja — audycja wesoła M. Hemara 22.05 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. W przerwie 1-szej „Co mówią najstarsi radjosłuchacze."

Wiązanka narcyzów

NOWELA

Siedząc na białym ganku swego dworku gaskońskiego, Wirginja Roumegous zagłębiła się w dzienniku. — Niezmiennym zwyczajem, który z lat biegiem stał się już tradycją, przychodziła tutaj codzień o szarej godzinie, by „odetchnąć pełną piersią", przeglądając gazety paryskie, przed chwilą właśnie od listonosza oddane.

— „Dobre nowiny, jaśnie panienko?" — dopytywali się wieśniacy, ciągnący gościńcem. „Doskonałe", odpowiadała Wirginja z uśmiechem.

Ale dziś choć kilkakrotnie już nagabywana, nie uniosła nawet głowy z nad arkusza. Ważne, niewątpliwie, wydarzenia omawiało to pismo z Paryża. Kilka kumoszek, bardziej zatroskanych, gromadą obstąpiło leżak Wirginji Roumegous, która nie umiała im się wywinąć.

— To nic zatrważającego, możecie być spokojne... Jedynie zapowiedź uroczystego obchodu... Czytam właśnie, że nasz znakomity rodak, Robert Marcillac, otrzymał od rządu wstążeczkę komandora Legji honorowej....

— Pomyślcie tylko, order! — Dla tego Robercia małego?

— Z tego zatem powodu przyjaciele zamierzają podejmować go uroczyście w jednej ze wspaniałych jadłodajni stolicy....

— A pani, Wirginjo, nie weźmie w zebraniu tem udziału? Wszak obcowaliście ze sobą bardzo blisko, za lat młodych... Czyliż nie było mowy o małżeństwie między wami? O! poeta ten, zapewne, nieraz gorzko żałował, że porzucił panią dla damy światowej: taką partję, jak pani!

Wirginja spłonęła dziewczęcym rumieńcem.

— Robert, jak mniemam, nie powinien żałować niczego: jest teraz syt zaszczytów i chwały... Ach! jakże daleko zaszedł on od chwili, gdy jako chłopak młody, zbierał narcyzy na okolicznych błoniach, sprzedając je następnie w miasteczku...

Wieczór kwietniowy, bardzo czysty, bardzo jasny, bardzo wonny, dogorywał zwolna ponad sadami. Nieruchoma, zatopiona w swych marzeniach, Wirginja sercem przeniosła się w czasy minione. Robert musiał, coprawda, tak jak widmo z Elżenory, powracać dopiero na ten krużganek: nigdy go bowiem nie był opuszczał. Ale obecność jego w tym gęstniejącym półmroku była tak przejmująco żywa, że stara panna aż odwróciła głowę, by spojrzeć na tego czarującego chłopca, pośród białego kwiecia narcyzów i na dzieweczkę lat tych samych, pomocną mu w układaniu wiązanek. Przy tej czynności śmiali się radośnie oboje. Wiersze jakieś cisnęły się na jej wargi, nieprzeparcie pierwsze strofy miłosne Roberta, rymy piętnastolatka, a jej poświęcone:

Jak wonny oddech narcyzów,
Miłość twa dziś mnie upaja...

Rodzice Wirginji wydrwili te miłostkę i odesłali do wszystkich djabłów młodocianego wierszokletę. Poszedł więc, popłakując, dokąd mu kazano... W zasadzie prawie że nie zmienił zajęcia; pozostał i nadal dostawcą kwiatów śnieżno-białych odurzająco wonnych, które w Paryżu i w książkach zowią się: narcyzy, a nawet narcyzy poezji... Ta igraszka osobliwa uczyniła go znakomitym.

Wirginja Roumegous w głębi swej prowincji śledziła sercem życzliwem każdy krok jego pochodu ku chwale. Nikt, poza wybrańcem młodości, nie zajął nigdy, nawet przelotnie jej myśli. I oto, mimo pięćdziesiątki już dojrzałej, mimo siwizny pierwszych szronów, z powodu tej wstążeczki, z powodu tej wiązanki odkryła w sobie dreszcz dziewczęcych niepokojów.

Uda się do Paryża, pojedzie tam niewątpliwie. Nikt obecnie, po śmierci rodziców, nie przeszkadza jej w złożeniu przyjacielowi lat dziecinnych daniny wspomnienia i w ozdobieniu zaszczytnej wstążeczki skromnym kwiatem łąk, jak klejnotem nieskalanym...

Z miejsca, które przypadło jej w udziale, Wirginja obejrzała wzrokiem cały stół biesiadny, gdzie — między ministrem a akademikiem — bohater dnia przodował uśmiechnięty. Nie bez trudności pewnej doszukała się swego dawnego „Robercia" w tym pozornie obcym panu. O! zaprawdę, dawno już wszak minęły czasy błoni ukwieconych, gdzie wśród traw wybujałych soczyście, urwis pewien przeskakiwał od narcyza do narcyza, na śpiż słonecznym żarem przepalony, z piersią wolną od wszelkich odznak honorowych!

A jednak, gdy się dokładnie przyjrzała, uśmiech pozostał ten sam i niezmienione były również oczy, których błękit niewinny zdumiewał w tem wytwornem obliczu, prałata, o ustach wąsko zakrojonych.

Pan minister uniósł się, by przemówić i wypowiedział słowa bardzo piękne brzmiące. Po nim prawo głosu odziedziczył akademik. Zaczem, kolejno wyraz uczuciom swym dawali: przedstawiciel poetów, wysłannik powieściopisarzy, delegat uczestników wielkiej wojny. Wszyscy oni stwierdzali mniej więcej to samo: wysławiali skromność i powściągliwość swej znakomitości.

— Skromny? To należałoby rozważyć! Owszem, lecz pycha królewicza pod strzępami łachmanów. Powściągliwy? hej! hej! wspomnienie dawne już, a takie jeszcze świeże, tak bardzo naiwne w swem dziecinnem zuchwalstwie, przeczyło półgłosem tej prawdzie urzędowej.

„Jestem, prawdopodobnie, jedyną w tem gronie, która go rozumie! myślała nie bez dumy Wirginja. Wyobrażam sobie, jakim niesmakiem przejmować go muszą te kadzidła pochwał oklepanych. Ja jedyna tylko obdarzę go kwiatem ulubionym. — Nikt tu zatem, nikt, prócz mnie, nie wie, że ten mistrz słów był kiedyś sprzedawcą narcyzów!

Powstała z miejsca, wysunęła się ukradkiem na korytarz i po chwili wróciła, trzymając w ręce wiązankę narcyzów! Ktoś, niosący wspaniałą więź róż płonących szkarłatem potrącił ją nieostrożnie. Usłyszała wokoło szept wielojęzyczny: „To upominek od pani X... z Komedji Francuskiej".

Wówczas Wirginja rzuciła okiem na własne kwiaty i spostrzegła, że przywiędły już, pomięły się, posmutniały, niejako w swem upośledzeniu, nawet zapach ich ulotnił się napoły... Narcyzy, to przecież nie dla podróży stworzone... Jednocześnie w wielkiem zwierciadle spostrzegła samą siebie, w sukni przydługiej, z węzłem siwiejących włosów, z biedną, wystraszoną twarzą. I nagła chęć ucieczki opanowała ją znienacka.

Dzieweczka jakaś przesunęła się koło niej, przyjaźnie uśmiechnięta. Gdzież to Wirginja widziała ten czysty pociągły nieco owal? Na jakimś witrażu kościelnym? Na załamku starego muru?

— O! co za śliczna wiązanka narcyzów! — zawołała panienka przechodząc.

— Chciałam ją właśnie ofiarować mistrzowi odparła Wirginja — straciłam jednak odwagę, dojrzawszy ten pęk róż, tak niezwykłej krasy...

Stara panna drżała i plątała się w swych słowach.

— Jeśli pani zechce powierzyć mi swe kwiaty, obiecuję, że mu je doręczę, zaofiarowała się dzieweczka serdecznie.

Tak świetlista i tak przezrocza, w błękity cała przyodziana, zdawała się istnieć poto, by obdarzać kwieciem.

— O! chętnie — zgodziła się Gaskonka. Tylko nie wobec zgromadzonych gości, proszę; mogłoby go to urazić... A może pani łaskawie dołączy także i tę kartkę, przepisałam na niej strofy, które pan Robert skreślił, mając lat piętnaście, dla kogoś, kto go miłował niezmiernie...

— Ojczulku — zwróciła się tego wieczora Blanka Marcillac do pisarza. — Wszyscy uczcili dzisiaj twą wstążeczkę, tylko córka twa nie wyraziła ci swych życzeń i nie złożyła darów...

Poczem zbliżając do twarzy ojca wiązankę gaskońskiego kwiecia, wygłosiła, napoły figlarnie i tkliwie napoły:

Jak wonny oddech narcyzów,
Miłość twa dziś mnie upaja...

— Kto cię nauczył tych wierszy? — przerwał Marcillac, przybladły.

— O! o! odkryłam zatem niewydany utwór mego papy! Pisałeś więc już, mając lat zaledwie piętnaście, winszuję!

— Ależ któż taki?

— Wróżka, gaskońska wróżka, wysłanka szmaragdowych łęgów twej młodości, umyślnie z tak daleka przybyła. Nie zgodziłbyś się chyba, by w tym obchodzie zabrakło narcyzów?

— Jakto, więc ona, po tak długim czasie przybyła... Wirginja?

I Robert Marcillac, by przesłonić źrenice, nagle zaszłe łzami, długo, w niemej podzięce, do twarzy swej przytulał wiązankę narcyzów...

Przełożył z obc. B. H.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 84)

„Mój synu", rzekł stary farmer i spojrzał poważnie na Jamesa, „zanim się zniszczy ludzkie życie, powinno się próbować wszelkich środków, celem uratowania człowieka. — Naprzód, posadź kobietę na siodle. Jedziemy z powrotem. Nie mamy daleko do kolonji Arbuckla."

Lecz w tej chwili, kiedy James Rudly chciał ująć Anielcię za rękę by ją podnieść ze ziemi i wsadzić na konia, zaÅ‚ała Rozyta drżącym głosem:

„Słuchajcie, mężowie z Nowego Meksyko, — nie możemy wracać do Filemona Arbuckle. Nie uczynimy tego za nic w świecie, ponieważ spieszymy się do Santa-Fee."

„Ah, tak się ma sprawa," zaśmiali się sąsiedzi, — „prawdopodobnie nie chcecie się zjawić przed Arbucklem i nie znacie go wcale."

„To kłamstwo", zawołała Rozyta, „przed wami stoi żona Filemona Arbuckle."

Po tych słowach zapanowała głęboka cisza. Po chwili przemówił stary Rudly:

„Jeżeli pani jesteś żoną Filemona Arbuckle, to dziwi mnie bardzo owa nocna wycieczka w leśnej puszczy w towarzystwie tylko tej dziewczyny."

„Kto was upoważnił do takich pytań?" zawołała dumnie Rozyta.

„Nie zapominajcie, że przed wami stoi wasz sędzia!" odparł poważnie stary farmer. „Przecież nie zaprzeczy pani, że towarzyszka siedzi na skradzionym nam koniu. — Nie potrzebujemy się długo wypytywać, w jaki sposób nabyłaś pani tego konia. — Stare prawa Zjednoczonych Stanów zezwalają na powieszenie każdego, kogo się przyłapie na gorącym uczynku kradzieży.

„Pozostają więc tylko dwie drogi", — mówił stary farmer, „albo udacie się z nami do Filemona Arbuckle, gdzie zbadamy całą sprawę, — albo też wolicie obie sąd doraźny, ponieważ młoda kobieta nie popełniła sama kradzieży, lecz i pani zapewne przyłożyłaś także swoją rękę do tego."

„Jestem innego zdania", przemówił jeden ze sąsiadów, „przedstawiam sobie inaczej tę sprawę. — Ów Rosjanin jest widocznie kochankiem tej młodej, pięknej kobiety. Ukradł konia i dał go swojej kochance. Druga kobieta jest więc niewinna."

„Puście ją," odparł stary Rudly, „zadowolimy się jej towarzyszką i powiesimy ją na pierwszej lepszej gałęzi. — Dalej sąsiedzi, z koni, spełnimy zaraz tutaj sąd doraźny."

Anielci zdawało się, że traci nagle zmysły. Myślała, że to tylko straszny sen. Powieszenie w amerykańskim dziewiczem lesie, — nowy świat nie obdarzył ją zbyt wielkiem szczęściem. — Postacie, kręcące się koło niej, przybierały szatański wygląd. Nagle zbladła jej gwiazda. Na niebie zaświeciła ognista kometa, zwiastun śmierci i zniszczenia.

„Słyszałaś?" zawołał stary Rudly do Rozyty, „moi sąsiedzi są przekonani o niewinności pani. Zgadzam się na to; raczej wypuścić winnego, aniżeli zabić człowieka, który może jest zupełnie niewinny. — Siadaj pani na muła i jedź z Bogiem! Może pani pragnie się pożegnać ze swoją towarzyszką? Nie mamy nic przeciwko temu! Tylko prędko, — czas to pieniądz!"

„Zabijcie mnie z nią razem", przemówiła żona Arbuckla, zeskoczyła z muła i rzuciła się w objęcia Anielci, „nie chcę żyć dłużej, jeżeli mi ją zamordujecie. Tak, to zwykły i nikczemny mord. Popatrzcie, czy ta piękna dziewczyna, nieznająca ani naszego kraju, ani tutejszych zwyczajów, jest zdolną do popełnienia kradzieży?"

„Do dzieła, chłopcy", zawołał stary farmer, „wyrok zapadł, rozchodzi się tylko o spełnienie. Jeżeli nie chcesz jechać, w takim razie powiesimy złodziejkę w oczach pani. Posłuchajcie mojej rady i jedźcie z Bogiem. To przykry widok dla kobiet! Nawet my mężczyźni nie lubimy bardzo tego zajęcia. Trudno, tak być musi!"

Rozyta rzuciła się na kolana przed mężczyznami, — wzniosła ku nim swoje ręce, — i zaklinała ich na wszystkie świętości, by darowali życie Anielci.

Lecz w następnej sekundzie wyprostowała się Anielcia obok klęczącej.

Położyła rękę na ramieniu Rozyty i zawołała stanowczym głosem:

„Nie proś tych ludzi, którzy w swojem zaślepieniu chcą mię mordować, — powstań, Rozyto. Jeżeli mi jest przeznaczone umrzeć z rąk tych bandytów, to twoje łzy na nic się nie przydadzą. Przypuśćmy, że Bóg zechce mię wyratować, to w takim razie znajdą się odpowiednie środki."

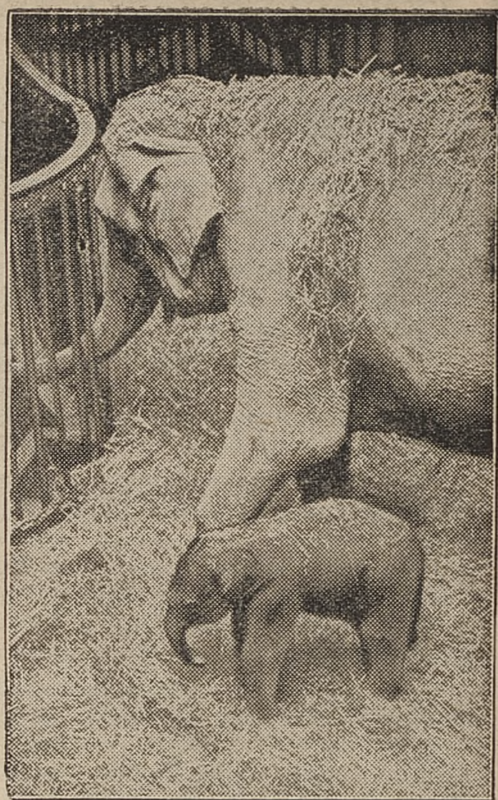
„Słyszeliście te słowa?" zawołała Rozyta, „czy mówi tak winny? Złe sumienie nie wypowie takiego zdania! — Mężowie z Nowego Meksyko strzeżcie się, byście nie popełnili zbrodni, która splami waszą duszę. Przysięgam wam: ta dziewczyna jest niewinna, ręczę za to moją głową."

„A kto zaręczy za ciebie?" zawołał jeden z osobników, „bądź zadowolona, żeśmy cię nie skazali na śmierć. Idź z Bogiem, a nie, to się prędko z tobą załatwimy."

„Dobrze," zawołała Rozyta, „droga Anielciu, pozostaje nam jeszcze jeden środek, by cię uwolnić od śmierci. Biada mi, biada mi, że muszę wybierać. Lecz niepewność jest tysiąc razy lepsza aniżeli pewna śmierć. — Słuchajcie, mężowie z Nowego Meksyko, jestem żoną Filemona Arbuckle, a ta, którą chcecie zamordować, to moja towarzyszka. Do niedawna żyła razem ze mną w domu mojego męża. Zaprowadźcie nas do osady Filemona Arbuckle, który potwierdzi że wasze podejrzenie jest wytworem szalonej fantazji!"

Stary farmer namyślał się. Zamienił kilka słów z towarzyszami i przemówił w te słowa:

„Nie należymy do tego rodzaju ludzi, którzy znajdą przyjemność w wieszaniu kobiety. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, możliwe więc bardzo, że się mylimy, w co jednak nie wierzę. W każdym razie postanowiliśmy przyjąć ten ostatni dowód, który nam zaproponowano. — Naprzód, siadajcie panie na muły, — weźmiemy was w środek. Towarzyszka pani zostanie związana, jak przystało na złodziejkę koni. Zaprowadzimy was do Filemona Arbuckle i zastosujemy się do jego zdania."



W ogrodzie zoologicznym w Berlinie urodziło się słoniątko, wywołując wielkie zainteresowanie wśród starszego i młodszego obywatelstwa.

James, syn farmera, wyciągnął ze swojej kieszeni kilka postronków, które zabrał w tym celu z domu.

Zbliżył się do Anielci i zawołał w opryskliwym tonie:

„Podaj ręce! Muszę je związać!"

„Mnie związać?" odparła Anielcia wzburzonym głosem, „na Boga, to zbyteczne! Daję wam słowo, że nie będę próbować ucieczki. Pójdę wszędzie, dokąd tylko zechcecie. Pragnę gorąco, byśmy się dostali jak najprędzej do Filemona Arbuckle, celem udowodnienia mojej niewinności. Chcecie mi związać ręce, — to niegodnie z waszej strony, — to tchórzostwo!"

„Oho, nazwała nas tchórzami," zawołał stary farmer, „kobieto, twoje wyzywające zachowanie pogarsza tylko całą sytuację."

„Boicie się rzeczywiście, by wam uciekła taka wątła, słaba dziewczyna?" zawołała Anielcia, „haha, wy się nazywacie Amerykanami, obywatelami najwolniejszego państwa na świecie? — Zaiste, gdybym miała tylko z jednym do czynienia, to nie odważyłby się nigdy na skrępowanie moich rąk!"

„Młoda czarownica ma rzeczywiście słuszność," — mruknął stary farmer, „ucieczka jest wykluczona. James, weź ją do siebie na konia i prowadź kasztana za cugle! — Dalej w drogę! Niech djabli wezmą, stracimy całą noc, zanim wyprawimy tę złodziejkę na drugi świat. — Lepiej się jednak upewnić, co do



Wraz z pierwszemi promykami wiosennego słońca spłynęły ostatnie lody i rozpoczął się sezon urządzania regat.

jej winy. Wówczas wykonamy na niej nasz wyrok."

CXXVI.

Łotrowski czyn Arbuckla

James chciał objąć Anielcię i wsadzić ją na konia. Dziewczyna cofnęła się jednak o kilka kroków i zawołała dumnie brzmiącym głosem:

„Proszę mnie puścić, wsiądę sama na konia. Nie dotykajcie mnie! Możecie mię zabić, — nie macie jednak prawa kłaść na mnie ręki, jak długo żyję."

„Jaka duma", szepnął James i odwrócił się; „trzeba przyznać, że jest piękną jak bogini. Człowieka boli wprost serce wieszać taką dziewczynę na gałęzi."

Anielcia przeszła obok młodego farmera. Przystąpiła do konia, włożyła nogę do strzemiona i równocześnie chwyciła się rękami za koński grzbiet.

Nagle — posłyszała odgłos kopyt i ostry, wzburzony głos, który zawołał:

„Jedźmy po tej ścieżce! Tędy zapewne uciekały. — na ziemi widać ślady mułów."

„Arbuckle!" wykrztusiła Rozyta i zatoczyła się, jak rażona piorunem.

Straciła wszystko, to było jasne! Nadchodził jej mąż; wolność skończy się za kilka minut! Weźmie ją, przemocą i zaprowadzi do swojego domu, gdzie rozpocznie znowu straszne życie, przy boku tego mężczyzny, którego nie mogła kochać, ponieważ jego ręce splamiły się zbrodniczym czynem. I tak będzie dalej cierpieć i znosić całe piekło duchowych i cielesnych dolegliwości.

„Uwaga, chłopcy", zawołał stary Rudly i chwycił za strzelbę, „ktoś nadchodzi! Baczność!"

Nagle roztwarły się gwałtownie krzaki, a Rozyta spostrzegła, że jej obawa była zupełnie uzasadniona.

Był to Filemon Arbuckle, który prowadził za sobą oddział złożony z dwudziestu ludzi.

Arbuckle i jego towarzysze byli uzbrojeni od stóp do głowy.

Było widać z ich twarzy, że przebyli forsowną jazdę. Osty i liście tkwiły w ich włosach. Jeźdźcy i rumaki kąpały się w pocie.

Arbuckle, jadący na dużym, czarnym ogierze, był w tej chwili podobny raczej do djabła, aniżeli do człowieka. — Na jego bladej twarzy pokazały się dwa ceglaste wypieki. Broda nadawała całej postaci dziki i krwiożerczy wygląd, — szeroko rozwarte oczy rzucały gorączkowe błyski.

Niema się co dziwić! Wiedział, co go czeka, jeżeli ofiara, którą całe lata trzymał w niewoli, osiągnie szczęśliwie Santa-Fee.

Sama mówiła mu często, — kilka razy nawet groziła, tak, że Arbuckle postanowił ją zamordować. Dotychczas nie miał jednak odwagi na spełnienie tego czynu, który byłby tylko następstwem pierwszego popełnionego przezeń morderstwa. Teraz żałował, że nie zdecydował się już dawniej na spełnienie tego zamiaru.

Ucieczka jego żony przejęła go trwogą i przestrachem. A gdy się jeszcze dowiedział, że Anielcia zniknęła razem z Rozytą, że już odeszła ta dziewczyna, która rozpaliła jego namiętną pożądliwość,wówczas dostał istnego napadu szaleństwa.

Zwołał kilkunastu wytrawnych ludzi, rozdzielił broń i puścił się galopem za zbiegami.

Obok Arbuckla jechał Grzegorz, którego spotkano w lesie. On to sprowadził swojego pana na właściwe ślady. Właściciel kopalni srebra nie byłby nigdy odnalazł bez jego pomocy swojej żony ani Anielci.

„Mamy je!" zawołał Arbuckle ochrypłym głosem, zobaczywszy przed sobą Anielcię i Rozytę. „Haha, sprzyjało nam szczęście, w krótkim czasie odszukaliśmy nasza zgubę! — Grzegorz spisał się dzielnie, — nie zapomnę ci nigdy tej przysługi."

Arbuckle w swoim piekielnym tryumfie nie zauważył wcale farmerów, którzy stali tuż obok niego i trzymali ciągle w pogotowiu strzelby.

„O, mister Arbuckle", zawołał stary farmer i zbliżając się do właściciela kopalni, „jakie szczęśliwe spotkanie. Właśnie chcieliśmy jechać do pana!"

Brwi Arbuckla nasrożyły się groźnie na widok starego farmera i jego towarzyszów. Nie było mu na rękę, że właśnie teraz, kiedy miał zamiar porachować się z Rozytą, był zmuszony odpowiadać i stawiać pytania. Chcąc nie chcąc podał rękę staremu farmerowi i pozdrowił go.

„Mister Rudly, jedziecie do mnie?" zawołał; znał bowiem farmera, z którym miał liczne sprawy jako ze sędzią pokoju. „Widzę was zawsze chętnie u siebie, ale może odłożycie swoją wizytę na stosowniejszą porę, ponieważ muszę załatwić w domu kilka ważnych spraw rodzinnych."

„Czy to prawda", odparł Rudly, wskazując ręką na Rozytę; „że ta lady jest pańską żoną?"

„Tak, to moja żona!" odparł Arbuckle wymijająco.

„W takim razie załatwimy sprawę na miejscu", mówił dalej farmer i stosownie do swojego przyzwyczajenia pogładził brodę; „rozchodzi się o przeklętą aferę i nie dużo już brakowało, a bylibyśmy spełnili mały sąd doraźny, jak to się zwykło robić w naszej ojczyźnie. Mister Arbuckle, ja nie obwiniam pańskiej żony. Spotkaliśmy ją jednak w towarzystwie kobiety, na której ciąży podejrzenie, że nam ukradła drogiego konia."

„Mów więc", zawołała Rozyta, zwracając się do swojego męża, „powiedz temu człowiekowi, że trzeba być szalony, by w coś podobnego wierzyć. Objaśnij go, że Anielcia nie kradnie koni. Samo podejrzenie zasługuje już na dotkliwą karę."

Rozyta czekała, kiedy Arbuckle w kilku słowach wyjaśni to nieporozumienie. Ale na wargach posiadacza kopalni zjawił się djabelski uśmiech. Straszna myśl zaświtała w tej chwili w jego głowie.

Do kaduka — przecież chyba nigdy nie nadarzy mu się lepsza sposobność pozbycia się tych dwojga, którzy wniknęli w jego tajemnicę. To piekło było mu sprzymierzeńcem, że właśnie na Anielcię padło to podejrzenie.

Jeżeli nie sprzeciwi się doraźnemu sądowi, to samo uwolni go od Anielci. Nie wątpił ani chwili, że Rozyta wtajemniczyła młodą Polkę we wszystko, że Anielcia wie już o tem strasznem morderstwie, jakie się odbyło w tym

wąwozie, w którym wznosiły się obecnie jego zabudowania.

„Tak, on musiał się jej pozbyć, musiał ją sprzątnąć z drogi! A teraz nie potrzebował nawet sam się trudzić i zabijć ją własną ręką. Całkiem poprostu potrzebował ją tylko wydać w ręce farmerów, aby się stała ofiarą ich doraźnego sądu.

Co się tyczyło Rozyty, tę chciał zabrać ze sobą do domu. Tam miała być strzeżoną jak najgorsza kryminalistka. Dom jego miał w piwnicy celę o żelaznych drzwiach. Tam miała być Rozyta zamkniętą, on sam chciał jej doglądać, — objąć rolę jej stróża więziennego.

Wszystkie te zbrodnicze myśli przemknęły mu błyskawicznie przez mózg, natychmiast powziął stanowczy zamiar.

Człowiek ten w niespełna pół minuty wydał tak straszny wyrok na dwie kobiety, z których jedna była jego małżonką, a drugą pożądał jeszcze przed krótkim czasem w tak gwałtowny sposób.

Ale obawa, aby mu nie zdarto maski z twarzy, by nie potrzebował stawać przed sądem jako oskarżony, odsunęła na stronę wszystkie inne względy pana Filemona Arbuckle.

„Myśmy już dawno chcieli wykonać doraźny wyrok", zawołał stary Rudly, widząc, że Arbuckle milczy, „ale obie te kobiety odwołały się na was, sir. — Co się tyczy jednej, to widocznie zaszła pomyłka; ona jest rzeczywiście waszą żoną; zapewne i ta druga nie będzie złodziejem koni. — Powiedźcie nam to całkiem prosto i pojedyńczo, mister Arbuckle! Kilku słowami poręczcie za te obie kobiety, a pojedziemy spokojnie do domu kontenci, żeśmy znaleźli naszego konia."

„Co, ty się jeszcze namyślasz", zawołała Rozyta, widząc, że jej mąż jeszcze ciągle milczy i mierzy oczyma Anielcię ze szyderskim uśmiechem, „nad czem się zastanawiasz? — Oddajże świadectwo prawdzie i powiedz tym mężom, że ani ja ani Anielcia nie zdolneśmy do takiego czynu. Objaśń ich, że o włos byliby się stali niecnymi mordercami. — Zresztą co mamy jeszcze wspólnie omówić, tego nie będziemy przecież traktować tutaj w obecności tych panów. Ja pojadę z tobą do domu, ja nie boję się ciebie."

W tej chwili podniósł Arbuckle głowę do góry, rękę położył poufale na plecach starego farmera, mówiąc:

„Gentleman, ja jestem obywatelem Zjednoczonych Stanów i jako taki muszę przedewszystkiem dać świadectwo prawdzie, jeżeli się rozchodzi o proces, jaki obecnie wytoczyliście. — Wyście przyłapali tę młodą „dziewczynę", — przy tych słowach wskazał ręką na Anielcię, — „na koniu, który był waszą własnością. Muszę się przyznać, że mnie to bardzo zadziwiło, kiedym usłyszał o tem. Ale co się tyczy tej sprawy, to chyba słuszny wasz sąd. Ja również jestem przekonanym, że ona ukradła tego konia i że ta, którą dotychczas zwałem moją żoną, jest współwinną tego uczynku."

Gdyby piorun spadł z jasnego, pogodnego nieba i ugodził właśnie w to drzewo, pod którym stały nieszczęsne stworzenia, jeszczeby ich to tak nie przeraziło jak te straszne, kłamliwe słowa, jakie Arbuckle wypowiedział w tej chwili. Przeraźliwy krzyk wydarł się z piersi obu niewiast.



W Anglji istnieje tradycja obdzielania przez króla przed świętami wielkanocnemi biednych jałmużną. Na zdjęciu król Edward VIII rozdziela jałmużnę najbiedniejszym obywatelom Londynu.

Rozyta przypadła do swego męża, pochwyciła jego konia za uzdę i podniosła prawą rękę z groźbą wgórę.

„Nędzny kłamco!" zawołała, „ty się odważasz szkaradny złoczyńco podejrzywać niewinną! — Ha, ja przejrzałam cię, bo moglibyśmy się stać dla ciebie niebezpiecznemi. Ale strzeż się, Filemonie Arbuckle, strzeż się! Mogłabym tym mężom coś takiego wyjawić, żeby skóra na nich ścierpła, — mogłabym przywołać do życia zmarłych, którzy spoczywają w grobach, — mogłabym —"

Arbuckle zadarł swego konia i pociągnął na stronę z taką gwałtownością, że Rozyta odtrącona wbok byłaby niechybnie upadła, gdyby nie przyskoczyła do niej Anielcia i nie podtrzymała jej obu ramionami.

„Milcz, kobieto!" zawołał Arbuckle grzmiącym głosem, „milcz, radzę ci, jeżeli nie chcesz, żeby mój bicz spoczął na twojej twarzy. — Gentlemen, posłuchajcie mnie, to ostatnie słowo jakie w tej sprawie wymawiam. Musicie się dowiedzieć prawdy i to całej prawdy, bo tu nie można niczego zataić, ani przekręcić.

„Ta kobieta tu, której zawierzyłem, oszukała mnie, — ona romansowała z jednym z moich ludzi. A ta, jej towarzyszka, pomagała jej do tego, oddawała jej usługi i ułatwiała niecne schadzki."

Rozyta zbladła jak ściana i potoczyła się w tył.

Anielcia również wydała mimowoli okrzyk przerażenia ze siebie. Takiej podłości nie patrzyła jeszcze w oczy.

Zresztą nie rozumiały dotychczas jeszcze całkiem słów Arbuckle. Nie pojęły strasznego sensu, który się w nich ukrywał, nie przeczuwały dokąd ten bezecnik zmierzał, ale w następnej chwili przejrzały go.

„Przypadek dozwolił mi odkryć niewierność mojej żony", ciągnął Arbuckle dalej, „ten sam mężczyzna, któremu szeptała swoje zaklęcia miłosne do uszu, u którego nóg leżała, którego błagała, aby z nią uciekł, ten sam przystąpił do mnie i wyznał mi wszystko. — Widocznie dowiedziała się o tem wiarołomna, bo nagle razem ze swoją damą do towarzystwa znikła z powierzchni rychło wczas; — wiedziała widocznie, coby ją czekało. Bo gdybym ją w pierwszym moim gniewie dostał był w swoje ręce, nie wyszłaby żywo z nich. Abyście jednak nie wątpili w prawdę tego, co wam opowiadam, abyście jak najzupełniej byli przekonani o szczerości moich słów, zawołam przed was tego samego mężczyznę, którego moja niegodna małżonka nagabywała i napastowała swojemi grzesznemi chuciami. Przyjacielu Grzegorzu, wystąpcie naprzód i dajcie świadectwo prawdzie. Powiedzcie, skłamałem? Czy też to słowo, co obecnie wypowiedziałem, jest prawdą?"

Pomiędzy tymi dwoma łotrami Arbuckle, a Grzegorzem panowała taka harmonja, — rozumieli się tak wybornie, że jedno drgnienie okien wystarczało drugiemu, aby zrozumieć natychmiast wszelakie zamiary pierwszego.

Grzegorz wysunął się z koniem nieco naprzód i schylając swą głowę aż do karku końskiego prawie, wypowiedział głosem złamanym i boleścią przejętym:

„Gentlemen„ każde słowo, które Filemon Arbuckle teraz wypowiedział, muszę potwierdzić.

„Tak jest, przyznaję się, żem początkowo dał się zwabić tej kobiecie i pozwoliłem na tę namiętność jaką ku mnie zapłonęła, pomimo tego, że Filemon Arbuckle obrzucał mnie dobrodziejstwami.

„Nagle jednak przejrzałem i zrozumiałem jasno co robię. Bóg w miłosierdziu swojem spuścił na mnie promień swej łaski, nie wiele się namyślając, udałem się i wyznałem wszystko oszukanemu małżonkowi."

Głęboka cisza zapanowała po tych słowach fałszywego świadka.

Całą tę scenerję dziewiczego lasu oblewał księżyc swojem jasnem, łagodnem światłem, tak, że zgromadzeni na tym placu ludzie mogli widzieć swe twarze i rysy i wrażenie, jakie się w nich uwidoczniało.

Rudly, sędzia pokoju, podniósł się wgórę na grzbiecie swego zwierzęcia, ostrym, dobitnym głosem spytał:

„I to możecie zaprzysiąc, gentleman?"

„Mogę zaprzysiąc!" zawołał Grzegorz.

„A co z tego wynikło, mister Arbuckle?"

„Z tego wynikło", zawołał Arbuckle, „że obie te panie na łeb na szyję uciekły z mego domu. W pospiechu, z jakim mnie opuściły, i w swojej ogromnej obawie, abym ich nie złapał, zapomniały albo nie miały czasu zaopatrzyć się w konie. Nie pozostawało im więc nic innego, jak chyłkiem udać się do waszej farmy i ukraść wam tego kasztanka, którego tam widzę i po którym zaraz poznaję, że to wyśmienite jakieś zwierze. Tak widocznie tylko mogło się stać, że zastaliście tę Polkę na grzbiecie waszego wierzchowca."

„Tak, tak było, a nie inaczej!" zawołał stary farmer i wszyscy zgromadzeni sąsiedzi wykrzyknęli jakby na komendę:

„Tak, tak było, — to sprawdzenie czynu, to już dowód!"

„I wy wierzycie temu nędznemu oszczercy?" zawołała Rozyta, prostując się nagle i występując na środek placu z falującą piersią i rozognionemi oczyma.

„Nie idźcie na lep — temu nędznikowi — nie uważacie, jak łże? — Poczekajcie, opowiem wam historję nie wymyśloną, ale prawdziwą —"

„Zanim opowiesz, pójdziesz do piekła", zawołał Arbuckle.

W tej chwili blask oślepił wzrok wszystkim obecnym, rozległ się huk strzału — i nim się spostrzeżono leżała nieszczęsna Rozyta ugodzoną kulą na ziemi.

„Boże litościwy", zawołała Anielcia, rzucając się do nieszczęśliwej przyjaciółki, „ten człowiek zamordował swoją żonę! — Morderca, — morderca!"

I głos jej rozległ się po gęstwinach lasu, — a złowrogie echo powtarzało: „Morderca, — morderca!"

Czyn ten zbrodniczy był dziełem jednej chwili, odbył się tak prędko, że niesposób było komu z obecnych mu przeszkodzić. Strzał był celny, kulą w głowę trafiona Rozyta nie męczyła się ani chwili.

Kurcz tylko wstrząsnął kilka razy ciałem kobiety, — jakby życie uchodzące borykało się z organizmem. Raz jeszcze otwarły się oczy i Anielci zdawało się, że w ostatniem spojrzeniu, które na nie padło, czyta wyraźnie wezwanie: „Pomścij mię!"

Martwa leżała nieszczęśliwa Meksykanka. Odpokutowała w tej chwili wszystkie swoje grzechy. Współudział w zbrodni, której Arbuckle na jej ojcu dokonał, życiem opłaciła.

„Mister Arbuckle, cożeście uczynili", zawołał młody Rbdly, pochylając się nad zwłokami; „zabiliście żonę swoją!"

„Wiem o tem i nie myślę przeczyć temu", odrzekł zarozumiale właściciel kopalni. „Czyż nie mam do tego prawa,



Jedna z angielskich hokeistek sprytnie się urządziła: ponieważ w czasie gry padał deszcz, powiesiła na bramce parasol, pod który mogła się schronić, gdy bramce nie groził atak.

czy nie oszukiwała mię, nie sprzeniewierzyła się? — Powiedzcie, James Rudly, co byście wy uczynili, złapawszy swoją żonę na gorącym uczynku z drugim, — kobietę, która wam przed ołtarzem wieczną miłość przysięgała? Pewnie nie wleklibyście się aż do Dakoty*), by tam dopiero starać się o przeprowadzenie procesu rozwodowego. Jedno pociągnięcie za cyngiel lepsze i wygodniejsze jak czteromiesięczny pobyt w Dakocie".

„Mojem zdaniem, on ma najzupełniejszą słuszność", ozwał się stary Rudly, „niewierna żona nie warta innego losu! Słyszeliśmy przecież wyraźnie z ust tego dżentelmena, że żona jego przysięgę wierności złamała. Ale zdaje mi się, mister Arbuckle, że będziecie teraz z sądem mieli do czynienia".

„No i cóż z tego, zapierać się czynu mego nie będę. Zresztą spodziewam się, że będziecie moimi świadkami".

„Ależ naturalnie", chórem ozwali się obecnie.

„W takim razie nic chyba tu więcej nie mam do czynienia", zabrał głos właściciel kopalni na nowo. „O zwłoki tej kobiety troszczyć się nie myślę, niech się nią dzikie zwierzęta leśne pożywią, chyba, że się jakaś litościwa dusza znajdzie, której się zechce grzebać. Chodźcie, Grzegorzu, chodźcie wszyscy, pojedziemy do domu. Jutro wybiorę się do Santa-Fee, by zrobić sędziemu doniesienie o tem, co tu zaszło".

Arbuckle ściągnął cuglami konia, zawrócił go w stronę domu, nie oglądając się, czy inni za nim podążają.

Grzegorz tymczasem zsiadł z konia i zbliżywszy się do Anielci, szepnął jej:

„Bądź moją, — a ja cię uratuję!"

„Bądź przeklęty, podły morderco", odparła z oburzeniem półgłosem Anielcia, „ratuj sam siebie, bo prędzej czy później i tak cię kat w swoje ręce dostanie".

Grzegorz osłupiał. Objął Anielcię długim, badawczym spojrzeniem i poznał w niej ową dziewczynę, która na dalekich krańcach Syberji w majątku jego ojca wdziękami swymi fantazję jego nieokiełznaną zapełniała.

„A, więc to ty", syknął, żelazną ręką ściskając Anielci ramię, „widzę cię znowu? Udało ci się wówczas uciec! Pytam ci się jeszcze raz, chcesz być moją kochanką? Słowo ci daję, że cię uwolnię, jak tylko powiesz tak! — Nie rób sobie nadziei, — ci Amerykanie nie umieją żartować, zwłaszcza, gdzie się rozchodzi o kradzież koni. — Bądź pewną, że cię powieszą tak pewnie, jak to, że się nazywam Grzegorz Slatkow. A jak ci raz zarzucą postronek na szyję, wtedy nic się nie wyratuje więcej!"

„Raczej postronek, jak ciebie", zawołało ładne dziewczę, odwracając się z obrzydzeniem od młodego Rosjanina.

„Ha, to giń!" zamruczał Grzegorz i dosiadł konia, cwałując razem ze slugami Arbuckle w kierunku swego pana.

Farmerzy tymczasem naradzali się. Gdyby Anielcia była sprytną, mogłaby wykorzystać te chwilę, — zabrać się i uciec, ale obecnie było zapóźno. Otoczyli ją swoimi końmi.

„Zaprowadźcie ją do tego wielkiego dębu", rozkazał stary Rudly, „tam wykonamy doraźny sąd, żeby zaś nie miała nic przeciwko temu, — najprzód ją osądzimy".

„Teraz nadchodzi groźna chwila", zaszeptał jej James do ucha, który rozbrojony jej wdziękami poczuł litość, „jeżeli pozwolisz sobie doradzić, to nie zapieraj się, tylko rzuć się do nóg mego ojca i błagaj go o litość".

„Prosić nie będę, — nie uklęknę i nie poniżę się przed moimi mordercami".

Ugrupowali się wszyscy wkoło starego dęba po prawej ręce stary Rudly ze synem, po lewej reszta farmerów, w środku Anielcia.

Stary las poważnie chylił się konarami, i szeptał jakieś tajemnicze słowa, jakby jęczał i żałował młodego życia.

CXXVII.

Sąd doraźny.

„Mężowie z Nowego Meksyko", zabrzmiał głęboki głos starego Rudly, zgromadziliśmy się tutaj, aby sądzić, czy znajduje się w pośrodku was jakiś, któryby może był niegodzien sądzić, któryby się splamił jakimś niecnym uczynkiem lub nie chciał iść za zwyczajem naszych przodków?"

„Takiego niema", zabrzmiała odpowiedź chórem.

*) Państwo Dakota posiada wyjątkowe ustawy w sprawach rozwodu. Gdy w innych państwach Północnej Ameryki po większej części bardzo trudno otrzymać rozwód, to w Dakocie nadzwyczaj łatwo o niego. Mąż czy żona, gdy pragnie rozwodu, udaje się do Dakoty, wnosi tam dotyczące podanie, a po kilku miesiącach pobytu tamże otrzymuje pozwolenie, bez zawiadomienia nawet drugiej strony.

„Dobrze, ja jako najstarszy, bo już sześćdziesiątka ciąży mi na karku, przysięgam w tej chwili, że jako przewodniczący dopełnię bezwzględnie wszystkich przepisów i praw uświęconych zwyczajem całego kraju, — praw strzegących porządku, ochraniających maluczkiego, karzących występców."

Podniósł w górę prawicę, oczy rozżarzyły mu się dziwnym ogniem.

Zwrócił się do drugich.

„Przysięgnijcie także, że chcecie być sędziami w myśl prawa, po woli Boga, po prawdzie!"

„Przysięgamy", zawołały cztery głosy.

„Dobrze, a więc chcecie osądzić tę występczynię, która stoi tu przed wami ściśle wedle prawa i zwyczaju, żaden z was nie jest z nią spokrewniony, ani w niej zakochany?"

„Ściśle wedle prawa!" zawołał chór.

Anielcia stała pod drzewem ze skrzyżowanemi rękoma na piersiach, blada, ale spokojna.

Tuż obok niej niedaleko leżał trup jej zamordowanej przyjaciółki ze szeroko otworzonemi oczami szklannemi. Anielcia nie miała nawet czasu oddać swojej przyjaciółce ostatniej przysługi, — zamknąć jej oczu. Ponure myśli snuły się po jej główce, a więc i ona niezadługo będzie tak wyglądać, stanie się prawdopodobnie pastwą sępów i kruków. — Jedna tylko myśl o Kazimierzu rozświecała tę ponurą ciemnię niby meteor świetlisty.

„Nie pytamy o twoje nazwisko, bo ono nas niewiele obchodzi", odezwał się znowu basowy głos sędziego, „o jedno tylko cię pytamy: chcesz się przyznać do winy?"

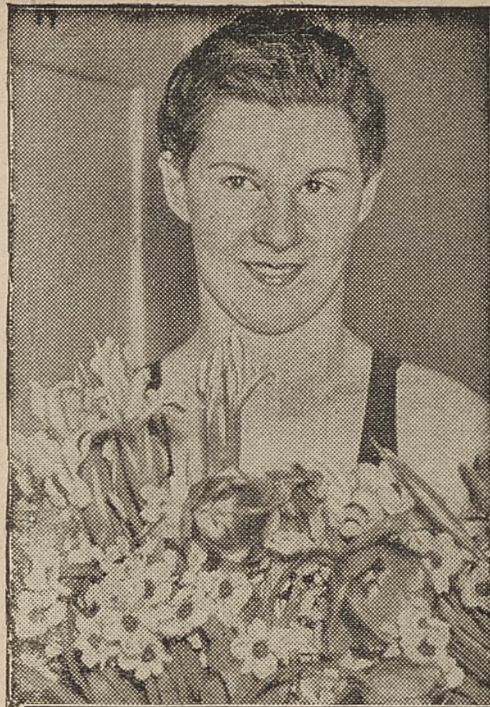
„Nie wiem o żadnej winie, niczego złego się nie dopuściłam, jak mnie zabijecie, dopuścicie się morderstwa", brzmiała odpowiedź Anielci.

„Nie masz zresztą nic do powiedzenia na twoją obronę, wiedz, że tutaj rozchodzi się o śmierć i życie!"

„Za pytanie pytanie", zawołała Anielcia. „Kto wam dał prawo sądzić mnie tutaj jeszcze do tego w imieniu Boga? Dlaczego nie wydacie mnie w ręce ustanowionego sędziego? Zresztą co to za prawo, które za kradzież zwierzęcia zabija człowieka. Ja jestem niewinną, ale przypuśćmy, żebym się dopuściła nawet tej kradzieży, czyż kradzież konia, a więc zwierzęcia zrównoważy życie ludzkie. Zamknijcie mnie do kryminału, oddajcie w ręce sprawiedliwości, przed prawdziwym sędzią będę się broniła, ale nie przed wami? Wy mienicie się być sędziami, a jesteście prostymi mordercami, bo chcecie zastrzelić, lub powiesić bezbronną dziewczynę. Wymawiacie się na wasz zwyczaj, święte prawo kraju. To wszystko fraszki! Powiedzcie raczej prawdę, że w piersi waszej drzemie jakaś dzika, pogańska żądza mordowania, — tej namiętności zgubnej chcecie hołdować!"

„Słyszeliście, przyjaciele", odezwał się Rudly, „zamiast się przyznać do czynu i żałować, staje hardo i obwinia jeszcze nas. Powiedzcie, na jaką karę zasłużyła ta butna dziewczyna, dopuszczając się kradzieży konia?"

Mała pauza zapanowała, po której trzy głosy zawołały:



Holenderska mistrzyni w pływaniu Tine Wagner, którą widzimy na zdjęciu, pobiła w zawodach pływackich w Amsterdamie rekord światowy.

„Śmierć"!

„Słyszę tylko trzy głosy", zawołał Rudly, rzucając okiem w stronę swego syna. „Obwiniona musiałaby zostać uwolnioną, gdyby mnie nie było, ale ja jako przewodniczący dodaję mój głos do waszego i wołam powtórnie: „śmierć!" Tem samem los jej zadecydowany!"

„Ojcze", odezwał się James, składając ręce jakby do prośby. „A może ona niewinna, — czyż ludzie nie mogą się mylić, możeby przecież lepiej było spełnić jej życzenie i dostawić ją do szeryfa do Santa-Fee".

„Milcz", zakrzyknął na niego stary. „Zapomnieliśmy już dawno spuszczać się na miastowych sędziów. Czy nie wiesz, że u nich główną rolę gra pieniądz, nie ostatnią także wdzięki gładkiej twarzy. — O nie, — tysiąc razy spra wiedliwszym jest wyrok sędziów z ludu. Ustąp synu, i naucz się w przyszłości być godniejszym członkiem doraźnego sądu.

James cofnął się i spuścił głowę na piersi, — wiedział, że każde dalsze słowo daremne.

„Słyszałaś, dziewczyno", spytał stary Rudly, „skazanaś na śmierć, a, że jak wiesz, wykonanie wyroku następuje wedle naszego zwyczaju zaraz po sądzie, więc niemasz wiele czasu. Uklęknij i pogódź się z Bogiem! Ty zaś, James, zajmij się przywiązaniem sznura do konaru".

Młody chłopak wyciągnął postronek z kieszeni i począł go przywiązywać, robiąc zarazem pętlicę.

Anielcia stała rozmarzona, jakby nie rozumiała tego wszystkiego, dopiero widok sznura przyprowadził ją do przytomności. Zimny dreszcz przeszedł jej po ciele.

Do tej chwili nie przypuszczała nawet, aby to straszne miało się sprawdzić. Teraz jednak, kiedy widziała przygotowania, przeraziło ją to niezmiernie. Czuła, że jest zgubioną, znajdywała się przecież w ręku tych pięciu bezlitosnych, znikąd nie mogła się spodziewać pomocy w tej głębi puszczy dziewiczego lasu.

James zeskoczył z gałęzi. Postronek z pętlicą zahuśtał się w powietrzu, dotykając jedwabistych włosów młodego dziewczęcia.

„Uklęknij i pomódl się", powtórzył stary Rudly, „pogódź się z Bogiem, aby ci przebaczył twoją winę, tak jak my ci przebaczamy".

„Klęknij", zaszeptał jej młody Rudly, „niema więcej ratunku"!

Anielcia zesunęła się bezsilnie na kolana, podniosła do nieba swą śliczną jasną twarzyczkę i z ust jej płynęły serdeczne dźwięki:

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje bądź wola Twoja!"

Nie mogła dalej mówić. Głośne łkanie wydarło jej się z piersi. Ogarnął ją żal ogromny, że musi umierać, że ginie tak daleko od ojczyzny, w tej dzikiej puszczy!

„Jako w niebie, tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".

Znowu umilkła, przerywając płaczem dławioną modlitwę.

„Czas już", zawołał stary Rudly, „dopowiedz „Amen" i umieraj!"

„Twoja bądź wola, — na wieki, amen. O Kazimierzu, — Kazimierzu, mój najdroższy, nie ujrzę cię więcej?"

W tej chwili przystąpiło dwóch do niej. Powalili ją na ziemię i poczęli jej zakładać stryczek na szyję.

Zemdlała i nie czuła nawet, co się z nią dzieje.

„Do góry!" zakomenderował stary Rudly.

Obaj farmerzy odskoczyli, puszczając ciało Anielci. Konar nachylony siłą do ziemi podskoczył do góry, unosząc ze sobą biedną nieszczęśliwą.

„Ona wisi już, ojcze!" zawołał James, pochylając się na szyi konia, „ach, ojcze, nie mogę znieść tego widoku. Uciekajmy."

„Zostań! Nie bądź niańką! Musimy się przekonać czy stało się zadość sprawiedliwości. Święty Boże, co to takiego?"

Strzał rozległ się w ciszy leśnej, rozlegając się echem w dalekie strony.

Straszny krzyk rozległ się wokoło, każdy krzak zdawał się ożywiać i rodzić czerwone okropnie pomalowane nagie ciała ludzkie. Wrzask wzrastał, nagle zaroił się cały plac czerwonoskórcami.

Stary Rudly ledwie miał czas zakrzyknąć przerażonym głosem:

„Na miłość Boga, uciekajmy, — zgubieniśmy! Apachowie, Indjanie tuż za nami!"

CXXVIII.

Pomiędzy czerwonoskórcami

Strzał, który pierwszy zdradził obecność Apachów był mistrzowski.

Kula przecięła postronek, który zdławił szyję Anielci, ciało biednego dziewczęcia upadło na ziemię.

Indjanie mieli ze sobą swoje małe koniki. W mgnieniu oka dosiedli ich i popędzili za uciekającymi.

Pierwszy z uciekających padł ten, który założył stryczek na szyję Anielci. Po jego trupie przeleciała cała czerwona zgraja, tratując go bezmiłosiernie.

„Zbliż się do mnie, żebym cię mógł zakryć swojem ciałem", zawołał James do swojego ojca. „Tylko dalej, — popędź lepiej konia".

„Daremny trud", zawołał stary dychawicznym głosem, „zdaje mi się, że nie ujdziemy tym czerwonym djabłom. Staraj się ty tylko wymknąć, masz dobrego konia, może ci się uda, musisz zrobić uważnym Arbuckle i jego osadę o grożącym napadzie. — Ha, właśnie, jeden z tych pomalowanych szatanów wysforował się przed nas. Teraz baczność!"

Zaledwie wymówił stary farmer te słowa, kiedy rozległ się w tyle za nim złowrogi wrzask. Drugiego sąsiada głowę trafił tomahawk Indjanina.

Dwaj Rudly nie mogli mu przyjść z pomocą, bo już rzucił się na nich ten sam dziki, który ich był wyprzedził.

James zmierzył się i strzelił, ale widocznie drżała mu ręka, bo nie trafił napastnika.

Z wrzaskiem rzucił się nań dziki, wymachując ogromną piką.

O dziesięć kroków oddalony rzucił ze zadziwiającą wprawą niebezpieczne ostrze w pierś młodego chłopaka.

Ale w tej samej chwili zasłonił stary Rudly swego syna własnem ciałem. Ostrze piki ugrzązło głęboko w piersi starego.

„Ratuj się!" usłyszał tylko James z ust umierającego ojca.

Na szczęście James siedział na bardzo szybkim koniu. Dopadł właśnie gęstwiny i znikł z oczu Indjan.

Stary Rudly leżał na ziemi, walcząc ze śmiercią. — Miał jeszcze na tyle siły, że wyciągnął ostrze z ciała, ale to był ostatni jego wysiłek. Potok czerwonej krwi wytrysnął z rany.

W ostatniej chwili przyszła mu jeszcze straszna myśl do głowy.

„To kara Boża", wyrzęził z trudem, — „sąd doraźny wykonaliśmy, — a ona może niewinna, — zamordowaliśmy ją bez dowodów, — o Boże w Niebiesiech, bądź miłościw mojej grzesznej duszy".

To były ostatnie jego słowa.

Dwaj pozostali farmerzy zostali także dosięgnięci. Na jednego rzucił się Apach o olbrzymiem ciele, złapał go za gardło i wpakował mu w pierś swój nóż. Drugiemu rozbił drugi czerwonoskóry kolbą od strzelby czaszkę.

Apachowie wznieśli tryumfujący wrzask. Zgromadzili się na placu, na którym leżała Anielcia.

Było ich może sześćdziesięciu. Dzika wściekłość malowała się w ich rozpalonych oczach.

Pomalowani w najróżniejsze kolory, ze zaplecionymi warkoczami czarnych włosów poczęli skakać dziko wokoło leżącej Anielci. Jednak żadna broń nie podniosła się ku niej. Przeciwnie dwóch z nich poczęło starannie podnosić zemdlałą ze ziemi.

Jeden z nich był to młody dziki o wysokim wzroście, z twarzą wyrazistą, którą możnaby nazwać nawet piękną. Krucze włosy spadały mu w nieładzie na ramiona. Na gołej, wypukłej piersi miał w miejscu serca siną farbą wymalowaną gwiazdę.

Drugi różnił się ogromnie. Wyglądu był straszliwy sposób. Ciało okrywała skóra dał zupełnie jak jakiś strach z bajki.

Twarz miał pomalowaną w przeraniedźwiedzia tak, że robił wrażenie jakiegoś zwierzęcia. Głowa niedźwiedzia spoczywała mu na czaszce. Z otwartej paszczy zwierza wystawał sztucznie zrobiony i czerwono pomalowny język.

Łamanym angielskim językiem spytał młody Indjanin straszydło:

„Czy to ona?"

„Tak, to ona", odpowiedział człowiek w niedźwiedziej skórze po angielsku.

„Przyniesie nam szczęście?"

„Szczęście i zdrowie całemu plemieniu Apachów, zwłaszcza tobie, zacny Mahito, synu niebieskiej gwiazdy, szczepie starych wodzów. Jeszcze raz przestrzegam was, abyście żadnej krzywdy nie wyrządzili tej dziewczynie, bo to biały kwiat, o którym wam już nieraz opowiadałem. — To plemie, które znajdzie biały kwiat, będzie panowało nad innymi szczepami, będzie najdzielniejsze i najwięcej poważane, żadne inne go nie zwycięży. A więc, Mahito, przemów do swoich i wbij im to w pamięć, aby żaden z nich nie przystąpił w złym zamiarze do białej dziewczyny".

„Będzie żyła?"

„Będzie, spuść się na mnie", odpowiedziało małe straszydło, które widocznie grało rolę medyka u tej bandy. „Zaraz jak tylko twój mistrzowski strzał przeciął powróz, pospieszyłem do niej, zwolniłem ją z pętlicy duszącej i przekonałem się, że życie nie uszło jeszcze z niej."

„Dobrze, w takim razie przemówię do moich!"

W kilku słowach zabronił wódz swoim wojownikom dotykać się bodaj ręką, —pod grozą śmierci, — białej dziewczyny.

Niezadługo buchnęło płomieniem ognisko. Na tem samem miejscu, na którem miał być spełniony doraźny wyrok, rozłożyli się Indjanie.

Daleko od innych ognisk rozpalił medyk swoje. Nie siedział przy wspólnym ogniu, stanowisko jego nakazywało mu odosobnienie. Miał także namiot, którego inni nie mieli, był bowiem poważaną osobistością u dzikich. Indjanie widzieli w nim nietylko swojego lekarza, ale i kapłana, który pośredniczył pomiędzy nimi a Wielkim Duchem.

Medyk kazał wnieść Anielcię do swojego namiotu.

Siedział nad nią z obrzydliwie pomalowaną twarzą i wpatrywał się pilnie w jej oblicze.

Młody wódz Mahito stał tuż koło niego. I on wpatrywał się we wdzięki zemdlonej. Od czasu do czasu mruczał medyk swoje zaklęcia.

„Będzie żyła, Akolpu?" spytał młody wódz przyciszonym, wibrującym głosem, „biały kwiat usechł, ci nędznicy pozbawili go zapachu i świeżości, może nie zwróci więcej swego kielicha ku słońcu?"

„Mój czerwony brat niech będzie spokojny", odpowiedział Akolpu, medyk, „biały kwiat roztoczy niedługo swe wdzięki i rozjaśni twarz młodego wodza. Bo ona piękna, pomimo tego, że biała."

„Piękna", wykrztusił Mahito ze źle ukrytą namiętnością, „ach, tak bardzo piękna, szczęśliwy ten, kto ją do swego wigwamu powiedzie. — Ale Wielki Duch sprzeciwia się twoim zabiegom, niechce odzyskać życia."

„Niech mój czerwony brat zaczeka cierpliwie jakiś czas", odparł medyk.

„Mój przyjaciel niech się dowie", zawołał wódz, „że Mahito pokochał tę dziewczynę i przysiągł sobie, że będzie jej strzegł. Żadnemu innemu jej nie odda, — sobie weźmie ją, — czerwone dziewczęta będą nim pogardzały, starsi z plemienia będą szemrać, ale Mahito pomimo tego poprowadzi ją do swojego wigwamu na złość wszystkim, — biały kwiat musi zostać jego własnością!"

Medyk nachylił jakąś flaszeczkę z płynem do warg Anielci i wsączył jej kilka kropel do ust.

Działanie tego lekarstwa było zadziwiające. Krew poczęła żywiej krążyć w jej ciele, oczy zwolna otworzyły się. Zemdlona przyszła do siebie. Pomału podniosła się i spojrzała na otoczenie. Lecz w tej chwili wydała ze siebie okrzyk przerażenia.

Dziwacznie pomalowana twarz medyka i wysoka postać młodego Inydjanina przeraziły ją zapewnie, nie wiedziała, czy to sen brzydki, czy rzeczywistość.

Mahito pochylił się do niej i zbierając wszystkie swe wiadomości angielskiego języka w pamięci, począł mówić z właściwą Indjanom szlachetną powagą:

„Nie bój się, biały kwiecie! — Nie zrobimy ci nic złego! Uratowaliśmy cię od brzydkiej śmierci. Moja kula przerwała sznur w tej samej chwili, kiedy zaczął cię dusić. Teraz jesteś w moim obozie, ja jestem wodzem Apachów, nazywam się Mahito, błyszcząca gwiazda. Ten, co klęczy koło ciebie, to nasz medyk; on cię przywołał do życia. Powinnaś mu za to być bardzo wdzięczną".

„Wpadłam więc w ręce Indjan", zajęczała Anielcia, ściskając skronie obu rękami, „Wielki Boże, ilekroć jeszcze zamierzasz mnie doświadczać! — Czemuż nie pozwoliłeś mi umrzeć, byłoby się wszystko skończyło. Poco to okropne przebudzenie? — Co za los czeka mnie teraz?"

Medyk zwrócił się do wodza i w indjańskim narzeczu odezwał się:

„Proszę cię, świecąca gwiazdo, zostaw mnie samego z tą białą dziewczyną. Ona przepełniona strachem i przerażeniem, spróbuj się jej dotknąć, a będziesz widział, jak będzie trwożliwie uciekać przed tobą jak przed jadowitym wężem."

Brwi Mahity zmarszczyły się groźnie.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Humor

Rozrzutni

Trzech Nowobogackich zachwala swoją hojność i rozrzutność.

— Ja — mówi X — kupuję całe pudełko havana po dolarze sztuka, wypalam jedno cygaro, a resztę oddaję lokajowi!

— Ja — rzecze Y — mam trzy kamienice, mieszkam w jednem mieszkaniu, resztę przeznaczyłem na skład mojej garderoby!

— A ja — mówi Z — kupuje brylanty 50-karatowe najczystszej wody, wodę wypijam, a brylanty wyrzucam za okno!

Brat

Pani domu widzi w kuchni jakiegoś żołnierza, który się posila.

Nazajutrz pyta się służącej:

— Marysiu, kto to był ten żołnierz, co wczoraj siedział w kuchni?

— A to był, proszę pani, mój brat!

— Dziwne całkiem niepodobny!

— Bo mu, proszę pani, w wojsku brodę zgolili.

Po żydowsku

Dwóch żydów jedzie razem pociągiem. Nagle z głębokiego snu budzi ich okrzyk:

— Ręce do góry!

Podróżni zrywają się przerażeni. Pięciu zamaskowanych bandytów celuje w nich z rewolwerów. Obaj żydzi trzęsą się ze strachu.

Nagle jeden z nich odzywa się nieśmiało do herszta bandytów:

— Panie naczelniku, czy ja mogę opuścić na chwilę ręce?

„Naczelnik" pozwala. Wtedy żyd wyciąga z kieszeni dwa banknoty pięćsetzłotowe i zwraca się do swojego towarzysza podróży:

— Masz, oddaję ci te pożyczone tysiąc zł.

Sprostowanie

— Moja pani! Do mego brata przyjechała szwagierka z wizytą i już sześć tygodni siedzi mu na karku.

— Co tam mamusia mówi? — wtrąca jej mały synek Staś. — Gdzie na karku. Sam widziałem, że ciocia Brońcia siedzi tatusiowi na kolanach.

Rozsądny Jureczek

— Przyznaj się Jureczku — powiada pan Modzio do braciszka panny Hali, u której rodziców bywa w domu — czy nie zaglądasz przez dziurkę od klucza, gdy ja z twoją siostrą zostaję sam w pokoju?

— Bardzo rzadko, proszę pana, tylko wtedy, gdy mama nie zagląda.

Biurokratyzm

Dyrektor wydziału ministerjalnego w jednem z europejskich państw:

— Muszę państwu z bólem donieść, że z powodów oszczędnościowych wydział ten będzie zniesiony, ale postarałem się o to, ażeby was wszystkich umieścić w innym wydziale i podnieść wam jednocześnie pensje.

Litość

Wracając koleją z letniska, mały Janek powiada do matki:

— Mamusiu, a któż będzie teraz mieszkał w naszem letniem mieszkaniu?

— Nikt, nasze mieszkanie będzie puste przez całą zimę aż do następnego lata, gdy my albo kto inny znowu tam zamieszka.

— Biedne pluskwy, przez całą zimę będą musiały się głodzić.

Wet za wet

— W rekomendacji wyraziła się pani o mnie, że jestem nieuczciwa. Nie mogę znaleźć słów oburzenia.

— Tak? A ja nie mogę znaleźć czterech chustek i sześciu jedwabnych pończoch.

Operacja

Lekarz: Gdyby operacja była potrzebna, czy miałby pan środki na pokrycie kosztów?

Pacjent: A gdybym nie miał funduszów na pokrycie kosztów, czy operacja byłaby potrzebna.

Pomysłowy Franio

Mały Franio pojechał na wieś do babci.

— Babciu — spytał któregoś dnia rano — dlaczego ta kura tak gdacze.

— Bo jest głodna.

— To ona nie może sobie znieść jajka na śniadanie?

Co zajął

— Wie pan, panie Kopelman, był u mnie wczoraj komornik.

— I co panu zajął;

— Godzinę czasu, bo reszta była przepisana na żonę.

W antykwarjacie

Antykwarjusz: — Oto piękny obraz Matejki .... niezrównany....

Nowobogacki: — Phi! Ja tylko kupuję obrazy sławnych i znanych malarzy! Proszę inny.

Co lepsze

Na ulicy kłóci się dwu starszych panów. Jeden ma siwe włosy, drugi jest łysy jak kolano.

— Pan myśli, że jak pan ma siwe włosy to już pan wszystkie rozumy zjadł! — woła łysy.

— A ja sobie gwiżdżę na pańskie siwe włosy!

— Ja panu tylko jedno powiem — mówi na to drugi. — Wolę jeden włos siwy, niż dwa łyse!

W sądzie

Przed sądem zeznaje jako świadek jakiś starszy jegomość łysy, jak kolano.

— A kiedy zobaczyłem to — mówi — wszystkie włosy stanęły mi dęba na głowie!...

— Przypominam panu — przerywa sędzia — zeznaje pan pod przysięgą i powinien pan mówić szczerą prawdę!

Najlepszy sprawdzian

Mały Jaś do Romka: — Jak ja się myję, to patrzę zawsze do lustra, czy już jestem czysty.

Romek: — Ee! ja tam wcale do lustra nie potrzebuję patrzeć, patrzę na ręcznik.

Wszystko jedno

Pani posyła służącą po bilety do teatru. Po jej powrocie pyta:

— Przyniosłaś Walerciu bilety?

— Przyniosłam. Ale nie było dwóch po sześć, to wzięłam dwanaście po złotemu.

Ważna zaleta

Pani: — Nie mogę cię, moja kochana, przyjąć do dzieci, jesteś za mała!

Kandydatka na nianię: — Ależ proszę, niech wielmożna pani tylko pomyśli, że jeśli upuszczę kiedy dziecko, to spadnie ono przynajmniej nie z tak wysoka.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie